Nr. 9. Lwów, 30. Lipca 1881. **Rocznik III.**

STRAŻNICA POLSKA

REDAKCYA ulica Zielona Nr. 46.
ADMINISTRACYA Rynek liczba 9.
EKSPEDYCYA
główna — Rynek, l. 9
i w Trafice (Hotel Żorża), róg placu Maryackiego i ulicy Krętej.
Pojedyńczy Numer 12 centów.

DWUTYGODNIK
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.
WYCHODZI CO DRUGĄ SOBOTĘ.

PRZEDPŁATA
na „Sztandar polski" i „Strażnicę polską" kosztuje kwartalnie:
we Lwowie (**bez przesyłki**) 1 zł. 50 ct.
na prowincyi . . . . . 1 „ 75 „
za granicą . . . . . 2 „ — „
Inseraty od wiersza (petit.) 5 ct.

Słowiańska uczciwość i los Polski.

Przyjdzie wkrótce do tego, że jak niegdyś mówiono *Greca fides, nulla fides* tak samo będzie można powiedzieć w Europie o uczciwości słowiańskiej, jeżeli dłużej jeszcze carat moskiewski stawić się będzie w oczach narodów i państw za reprezentanta idei słowiańskiej. Najsmutniejsza to, że w obec zmyślanej uczciwości tego intruza pomiędzy słowiańskimi plemionami, rzeczywisty los Polski nie jest dokładnie znany w Europie. A jednak los jej najwymowniej świadczy o uczciwości słowiańskiej narodu rossyjskiego.

Uczciwość słowiańska była w istocie znaną, była sławną, ale od kiedy krzywda milionów uciśnionych, zalewanych krwią i pędzonych w Sybir mieszkańców Polski stała się jawną i odkąd ciemięzcy z nad Kłamzy i Moskwy wystąpili krwawi w roli opiekunów słowiańskich — odtąd przestała być Polsce miłą nazwa plemienia słowiańskiego.

Jakoż zaprawdę, kto uznaje za uczciwe postępowanie takich braci-słowian, niech się brata z nimi, niech wyciąga ręce do tego braterstwa, które kładzie kajdany na ręce; niech się szczyci mianem Słowianina. Dla Polski miano to może się stać wkrótce wstrętnem i ohydnem, jak ohydny jest brat, który się splamił zbrodnią. W takiem położeniu jak obecne, społeczeństwo polskie może sobie tylko życzyć, ażeby przyszło jak najprędzej do napiętnowania tego miana, bo od pewnego czasu zidentyfikowano je z Rossyą, i co ta uzurpatorska potęga zrobi złego, idzie na rachunek plemion słowiańskich. Niechże idzie na rachunek tych, którzy się do braterstwa krwią zbryzganych rąk przyznają; nie pójdzie na rachunek Polski, która nie chce utonąć w tem brudnem morzu fałszu i kłamstwa.

Jeżeli cechą słowiaństwa i słowiańskości ma być upadanie w proch przed obliczem carskiem, które Rossyanie nazywają ojcowskiem, jeżeli tą cechą zmyślanie szacunku dla przekupnej władzy, trwoga wieczna, to lepiej doprawdy, żeby słowiaństwo takie doczekało się zagłady wiekuistej; lepiej znać tylko narody Serbski, Chorwacki, Polski, Czeski, Moskiewski, bo przynajmniej wtedy nieuczciwość wszechsłowiańska nie spadnie na wszystkie, tylko zawsze na ten naród, który się jej dopuścił. Dziś już urzędowa, rossyjsko-słowiańska uczciwość, to żadna uczciwość, to stek kłamstwa i brudów. Mówiły o tem fakta dawne, mówi i najświeższy.

W podróży swej po guberniach Królestwa Polskiego, o której donosiły dzienniki, zajechał generał-gubernator warszawski ks. Albiedyński także do Lublina. Tam dyrektor Towarzystwa kredytowego ziemskiego p. Swieżawski wyraził życzenie, ażeby rząd wprowadził do szkół język polski, bo dla ludności polskiej.

„Gołos" petersburski, organ niby to liberałów, umieścił o tem przemówieniu dyrektora do gubernatora telegram. Zaraz nazajutrz umieścił w artykule wstępnym denuncyacyę. Ta bardziej do twarzy niewolnikom, niż zmyślanie wolnomyślności. Ale w tym samym artykule zgromadził p. Krajewskij, redaktor „Gołosu" mnóstwo kłamstw, fałszywego ubolewania i pociech, jakie dają Azyaci swoim niewolnikom.

Na wstępie kładzie „Gołos" takie zapytanie:

„Nie wiemy o ile p. Świeżawski cieszy się w kraju powagą i o ile mógł siebie poczytywać za reprezentanta ze strony polskiego społeczeństwa przed człowiekiem znajdującym się w służbie carskiej i przedstawiającym wyższą władzę w kraju, ażeby się stawić za tłómacza uczuć i życzeń narodu polskiego".

Tłómaczyć autorowi artykułu, o ile człowiek uczciwy czuje się jednem ogniwem w całości i o ile czuć może za ogół, nie warto nawet, bo nikczemność uczciwości nie pojmuje. Ale w dalszym ciągu obdarza nas „Gołos" jeszcze piękniejszym ustępem, który brzmi:

„My wiemy przecie, że gubernia Lubelska nie jest zamieszkana przez ludność wyłącznie narodowości polskiej, że bardzo znaczna część tutaj *„ruskawo"* narodu, nienależącego do kościoła katolickiego. Dla tego musimy oświadczyć, że wcale niestosowne miejsce wybrano do demonstracyi w polskim duchu narodowym i katolickim".

Reszta naturalnie odpowiada zupełnie powyższym słowom. „Gołos" wielce zgorszony, że ktoś nie mianowany przez cara śmie występować w imieniu społeczeństwa i narodu. O! uczciwości słowiańska, raduj się i ty rozumie publicystów liberalnych, któremu trzeba koniecznie stępla władzy carskiej, inaczej rzecz nie będzie miała znaczenia. To tylko jedna strona uczuć tych panów, strona liberalizmu, cywilizatorskiej pretensyi i cokolwiek przymieszki azyatyckiej przebiegłości, gdzie mówią o „kościele katolickim," który wszędzie musi być wmieszany, ażeby mącić pojęcia. Wiadomo bowiem, że nie o kościół tu idzie, nie o wyznanie, ale o narodowość, o przyznanie jej sprawiedliwości. Na to się nie zdobędzie słowiańska cnota Moskali. To są bracia, którym do uczty potrzeba koniecznie żywej krwi, gorących jeszcze wnętrzności i drgającego serca Polski. Pod innym warunkiem nie ma uczty. Gdyby mogli strawić, zdławić Polskę, zrueliby się z tą samą chciwością na dobrze utuczone Niemcy. Przebaczajcie im jednak narody Europy, bo to uczciwe dzieci, pilnujące porządku przeciw wichrzycielom, posłuszne ojcu carowi, to wcielona uczciwość słowiańska, co na olbrzymich obszarach użyźniwszy je krwią i kośćmi polskiemi, mniemała, że już Polska umarła i że uczciwość słowiańska będzie mogła chłeptać krew innych ludów bezkarnie. A tymczasem dziś, po tylu wysileniach w tym samym już cytowanym artykule woła z rozpaczą uczciwość słowiańska:

„A jednak mimo wszystkiego istnieje kwestya polska, ciągle groźna dla naszego spokoju i prawidłowego rozwoju wewnętrznego".

Więc mimo Sybiru, knutów, szubienic, potoków krwi, cytadeli i katorgi — uczciwość słowiańska jeszcze niema spokoju, jeszcze nie mogła zdławić synów tej samej matki Słowiańszczyzny, do której się przyznaje i którą tak haniebnie reprezentuje.

Kiedy zgulizna szarpała trzewy i wyjadała serca organizmowi moskiewskiemu, taż sama uczciwość słowiańska ocknęła się była na chwilę

Wycieczka do Wieliczki.

Jeżeli kiedy, to dziś z żalem zaznaczyć musimy, że wydawnictwo nasze, zmuszone liczyć się szczupłemi ramami pisma i jako dwutygodnik, nie jest w możności podawania szczegółowych sprawozdań, nawet o wypadkach takiej doniosłości jak 3. zjazd przyrodników i lekarzy w Krakowie. A zaiste zjazd ten, na którym byli obecni przedstawiciele ze wszystkich zakątków dawnej Rzeczypospolitej polskiej— miał wszechstronne znaczenie, krzepiące ducha, jakby eliksirem ożywczym.

Komitet składający się przeważnie z lekarzy, dobrze pojął swe zadanie, gdy z kongresem naukowym połączył jeszcze innego rodzaju uczty duchowe, — nie zapominając w końcu i o potrzebach chleba codziennego dla ciała. Rzeczywiście, komitet, rozporządzając stosunkowo skromnymi środkami, wywiązał się świetnie i dobrze się zasłużył. Jedynie tylko jakiś śledziennik lub zazdrość mogłyby wymarzyć jakiśkolwiek zarzut. W programie zjazdu ogłoszoną była na dzień 22. wycieczka do Wieliczki. Przed 1. w południe zapełnił się dworzec kolejowy członkami Zjazdu obojga płci, chociaż deszczyk drobny nieprzedstawiał świetnego widoku wycieczki. Niezwykłej długości pociąg umyślnie przygotowany, którego lokomotywa przybraną była w wieńce i barwy narodowe, w krótce się prawie przepełnił. Gdy każdy usiadł gdzie mógł, zawiązywano nowe znajomości lub wypadkowo spotykało się dwóch dawno rozłączonych przyjaciół. Deszczyk kropił coraz gęściej. Obok dworca w Wieliczce czekało mnóstwo furmanek, które gości przewiozły do głównego centrum kopalń. Deszcz zakrawał już prawie na ulewę a gdy nie każdy był zaopatrzony w parasol i odpowiednie ubranie, położenie stawało się nie zbyt przyjemne. Zależało każdemu na tem, aby uzyskał prędko bilet spuszczenia się do kopalń. Dwa okna kasy na zewnątrz otworzone a oblężone jakby szturmową kolumną, spowodowały chaos, tłok i niezbyt przyjemny atak na panów kasyerów salinarnych. Płeć brzydka — no, ta nawykła do podobnych niespodzianek; ale za to dla nadobnie pięknej każda chwila stawała się przykrzejszą. A że to brać polska czy to z nad Wisły lub Warty, Niemna, czy Dzwiny lub Dniepru, wszystka razem nie grzeszy zbytnią cierpliwością, a więc i tu dowiedli, że są rodzonymi. Zakrawało już coś na burzę w szklance wody, gdy w tem daje się słyszeć donośny głos:

„Panowie i panie! — rzeczywiście, to rzecz oburzająca a tem więcej karygodna, że nie kto inny tylko komitet zawinił! Tak jest on a nie kto inny, bo mając w gronie swoim „astronoma", dlaczego tenże nie tylko nie przewidział deszczu lub nie uznał za stosowne nakazać, aby nie sprawiał nam kapieli! Bądź co bądź wina musi być ukaraną: pana astronoma a członka komitetu skazuje się niniejszym doraźnym sądem na — zatańczenie w podziemiach, a który to wyrok wykonają natychmiast nadobne nasze panie."

Wyrok ten przyjęty został hucznymi oklaskami i pomimo deszczu rozjaśniły się oblicza. W krótce potem jedni zaczęli schodzić do podziemi schodami a drugich mieszczono w klatki najnowszej konstrukcyi i spuszczano przy pomocy parowej maszyny. Chwila ta wywierała pewne wrażenie na obydwóch rodzajach płci, chociaż każdy usiłował udawać zucha...

Rozpoczęła się wędrówka po podziemiach, które były rzęsiście oświetlone lampionami. Wypada mi jeszcze nadmienić, że przedtem zaopatrzyła się większa część zwiedzających w płaszcze górnicze i nakrycia głowy, które nadawały zwiedzającym pewien charakter wędrujących duchów. Płeć piękna tuliła się troskliwie pod opiekuńcze skrzydła swych towarzyszy, a w wielu wypadkach przyjmowała opiekę nieznajomych przedtem. Prawie na czele tej licznej procesyi postępowało dziarsko dwóch starców, którym wiek bynajmniej nie przeszkadzał, aby się tak samo, jak młodsza generacya zasługiwać niebiankom ziemskiego żywota. A byli to pp. Dr. Mayer i Dr. Szokalski. Zadając kłam siwiźnie, prawie bez zmęczenia i z młodzieńczym zapałem przewodniczyli tysiącznemu orszakowi. Na wylotach kurytarzy podziemnych spotykały nas niespodzianki, dla których opisania pióro nie wystarcza, a mógł by je tylko mistrzowski pędzel przenieść na płótno. Wychodzisz z korytarza, stajesz zdumiony, bo pod nogami twemi w licznych załamach rzucone są schody jakby przez nurty rzeki, niezgłębionych otchłań i do skał przyczepione. Gigantyczne zarysy podziemnej architektury przedstawiają oku widoki pieczar, świątyń podziemnych, których skle-

i zaczęła wołać na społeczeństwo polskie, żeby podało rękę do zgody, do zgody nad morzem krwi i krzywdy niepowetowanej. Pamiętamy dobrze te niedawne czasy. Dziś publicyści rossyjscy zapomnieli o tem, a raczej nie zapomnieli, tylko z rozmysłem koronują uczciwość słowiańską nowem kłamstwem. Bo oto autor kilkakrotnie już cytowanego artykułu woła:

„Nie wiemy, jakie uczucia przenikają Polaków dla Rossyi i Rossyan, nie wiemy czy naprawdę przyszli do przekonania o konieczności braterstwa i pojednania, o którem mówią niektórzy polscy publicyści“.

Prawda, że to nie lada uczciwość i czysto słowiańska z przymieszką obłudy tatarskiej. „Gołos“ woła, że to polscy publicyści mówią o pojednaniu i zgodzie i braterstwie, lubo w duszy się śmieje, bo pierwsi rossyjscy publicyści zaczęli wołać o **nieobchodimosti bratskawo prymirenia** i to wtedy, kiedy ojcu carowi zgnilizna moskiewska zaczęła dokuczać. Górą uczciwość słowiańska, dla której za ciasno w carstwie, więc obdarować nią całą Europę. Kłamstwo na kłamstwo spiętrz,c, to ułatwi rolę, kiedy inny wiatr powiał i liberały moskiewskie przechodzą napowrót w służbę samowładcy, pana życia, śmierci, łask i orderów. Któż wie, czy uczciwości słowiawiańskiej nie otwiera rząd carski napowrót bramy do nadużyć w Polsce, kiedy taki nagły przewrót nastąpił w wyobrażeniach. Nie jesteśmy prorokami, ale przepowiedzieliśmy na podstawie znajomości charakteru pseudo-słowiańskiego tę zmianę. Ostrzegaliśmy o nieszczerości, o cnocie słowiańskiej Rossyan.

Nie nadzieja nas łudzi, ale fakta przekonywają, że wkrótce w samej rzeczy będzie można powiedzieć:

Uczciwość słowiańska, to kałuża zgnilizny.

Kończąc swój piękny artykuł zdążający do prymirenia, powiada „Gołos“ już nawet w imieniu rządu carskiego:

„Tak jest, nie możemy pozwolić na to, ażeby w stosunkach z Polakami nasze władze ustanowione w tym kraju, używały języka polskiego“.

To przynajmniej jasno i „uczciwie“, jak na Słowian rossyjskich przystało. Jeżeli publicystom polskim, łatwowiernym i dobrodusznym, lubo złym politykom, uderzało serce do rzekomego braterstwa z braćmi Słowianami z północy, to głośne te uderzenia zostaną może nieco uśmierzone. Może także przekonają się inni, że los Polski nie tam, gdzie tryumfuje uczciwość słowiańska, wzięta w arendę przez Moskali.

Zjazd pedagogiczny w Krakowie.

Tegoroczny zjazd Towarzystwa Pedagogicznego w Krakowie zawdzięcza swe znaczenie nie tylko ważności chwili, zajętej sprawą reformy ustaw szkolnych, ale też ważności miejsca a nadto uświetniły go objawy, mające wielką doniosłość w rozwoju Towarzystwa.

Wiadomo, że inicyatorem myśli odbycia zjazdu w Krakowie był nie kto inny, jak obecny marszałek krajowy, zeszłoroczny prezydent miasta Krakowa, Dr. Mikołaj Zyblikiewicz. Liczba uczestników zjazdu była najlepszym dowodem trafności tej myśli, przekroczyła ona znacznie cyfrę tysiąca i doszła do wysokości, nieznanej nawet w dziejach tak ruchliwego towarzystwa, jakiem jest Towarzystwo pedagogiczne. Nie ulega wątpliwości, że oprócz ważności obrad i żywego współudziału, który charakteryzuje wszystkie walne zjazdy tego towarzystwa, główny pociąg wywierał urok miasta, będącego skarbnicą pamiątek dziejowych naszego kraju i kolebką naszych najpoważniejszych instrukcyj naukowych. To też nie można się dziwić, że większość uczestników starała się skrócić ile możności tok choćby najważniejszych obrad, byle tylko korzystać ze sposobności oglądania Wawelu, Sukiennic, kopca Kościuszki, kościołów, wystawy sztuk pięknych, biblioteki Jagiellońskiej i muzeum archeologicznego, muzeum przemysłowego, muzeum Czartoryskich, kopalń Wielickich i tylu innych przedmiotów pouczających i rozszerzających zakres wyobrażeń a miłych sercu każdego z uczestników. W tej mierze komitet gospodarczy poczynił wszystkie możliwe ułatwienia, a każdy przyzna, że nauczyciel, któremu o tych pomnikach nieraz wypadnie mówić w szkole, daleko żywiej będzie umiał działać na wyobraźnię uczniów, gdy będzie stał pod wpływem doznanych wrażeń i wspomnień esobistych.

Zwykłe coroczne sprawozdanie z czynności zarządu głównego i funduszów towarzystwa i inne czynności administracyjne zjazdu pomijamy. Dają one tylko wyobrażenie o statecznym rozwoju czynności, który w ubiegłym roku szczególnie w dziale wydawnictw, nakładów dzieł metodycznych i pism dla młodzieży pod kierownictwem profesora Benoniego znacznie postąpił. Drukowane sprawozdanie, do którego czytelników odsełamy, podaje w tej mierze dokładne szczegóły.

Wykład profesora Żulińskiego na temat: „Czy i o ile należy żądać ograniczenia lub zmiany planu nauk przyrodniczych dla szkół ludowych, mianowicie historyi naturalnej“, stał w ścisłym związku z poruszoną w ankiecie szkolnej dyskusyą nad dokładnem wyszczególnieniem planów, zastosowanych do stosunków ludności.

Wnioski zarządów oddziałowych, które dwukrotnie (na pierwszem i na ostatniem posiedzeniu) przychodziły pod obrady, były mniej więcej zgodne z żądaniami memoryału, który zarząd główny od kilku lat regularnie wnosi do Sejmu krajowego, domagając się z jednej strony ukrócenia lat służby szkolnej i polepszenia dotacyi, z drugiej zaś strony w ogóle polepszenia stosunków szkolnych.

Odczyt p. Harwota p. t. „Pracownia szkolna ze stanowiska pedagogiki i ekonomii społecznej“ poruszył również jeden z najbardziej na czasie będących przedmiotów, co do którego dotychczas znane nam są w części opinie zagranicy ale mało poparte wynikami doświadczeń, zastósowanych do naszych krajowych warunków. Uznając tedy ważność tej sprawy uchwaliło zgromadzenie, by z przyszłem walnem zgromadzeniem, które się ma odbyć w Kołomyi, była połączona wystawa prac uczniów i uczennic, któraby dała wyobrażenie o ile nasze szkoły czynią zadość potrzebie przysposobiania młodzieży do jej zajęć praktycznych w granicach właściwych szkole.

Odczyt odnoszący się do hygieny szkolnej, nie przyszedł do skutku z powodu nieobecności referenta spowodowanej stanem zdrowia.

Sprawozdanie prof. Baranows iego o pracach ankiety poruszył wszystkie ważniejsze kwestye, przedyskutowane w sekcyi administracyjnej i w sekcyi pedagogicznej i wyjaśniło, w jakiem stadyum sprawa stoi. Krótkość czasu jednakże nie pozwoliła zgromadzeniu przeprowadzić dyskusyi nad tym przedmiotem. Referat przyjęto jedynie do wiadomości.

Wybory zatwierdziły dotychczasowy skład zarządu głównego a nadto zgromadzenie nagrodziło długoletnią i wytrwałą pracę prof. Gerstmanna, który sprawami Towarzystwa w zarządzie bardzo pilnie i gorliwie się zajmuje, mianując go na wniosek zarządu głównego swym członkiem honorowym.

Niezwykłej jednakże doniosłości były dwa wypadki, które uświetniły zjazd walny: Pierwszym było błogosławieństwo Ojca św., przysłane uczestnikom zjazdu za pośrednictwem obecnego wówczas w Rzymie biskupa krakowskiego ks. Albina Dunajewskiego, członka Towarzystwa pedagogicznego. Błogosławieństwo to było uznaniem poważnego stanowiska i znaczenia, jakie to Towarzystwo w życiu społecznem posiada, a wyrazy czci i zapału, jakimi je towarzystwo przyjęło, były najlepszym dowodem, że w łonie tego towarzystwa żyje poczucie religijnego ducha, zapewniające działanie, zgodne z dążeniami i potrzebami religijnemi ludu.

Drugim momentem był wyraz hołdu dla jubilata nauki Dr. Józefa Mayera, członka honorowego Towarzystwa, oddany przez deputacyą na bankiecie, zamykającym zjazd cały. Pełne głębokiego zapału i przemawiające do serca słowa prezesa Tow. Sawczyńskiego tak przy otwarciu zjazdu, jak przy zamykaniu posiedzeń i na bankiecie były nie tylko wyrazem głębokiego uczucia przywiązania dla pamiątkowego grodu, sercom wszystkich uczestników bez różnicy wyznania obrządku i pochodzenia, ale też oddały należyte uznanie zasługom naukowym jubilata i pracy głównego gospodarza, prezydenta miasta Dr. Weigla. Część uczestników została na zjeździe przyrodników lub udała się w góry szukać wytchnienia, główna zaś ilość powróciła do domu ze wspomnieniem wiersza, zastosowanego przez prezesa:

„Wasz piękny Kraków, starodawny gród,
Dziwuje mu się okoliczny lud“,..

Wystawa Przyrodniczo-lekarska w Krakowie.

Napisał J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Zjazdy przyrodniczo-lekarskie, z których się trzeci obecnie odbył w Krakowie, przedstawiają niezawodnie nową erę w organicznej wiedzy polskiej i postępie nauk ścisłych. Zjazdy te oprócz wielkich korzyści realnych nietylko dla Polski, ale w ogóle dla ludzkości, mają oprócz te-

---

pienia giną w pomroku nocy. Z tych okiem niedojrzanych łuków, spuszczają się olbrzymie żyrandole z zaskrzepłej soli, a światełka na nich setkami umieszczone, odzwierciadlają się w pryzmach kryształu jakby w koronach złożonych z najcenniejszych brylantów. Przez olbrzymie okna wykute w skałach błyszczącej soli, odsłaniają się widoki grot i fantastycznych obszarów i kształtów, które oświecone bengalskim ogniem, przedstawiają nie do opisania czarodziejskie obrazy. Spuszczasz się po wygodnych schodach, spostrzegasz obok w głębi znowu otchłań, na której dnie widzisz nowe czarodziejstwa. Tam błyszczą ogniem rubinów szmaragdów, szafirów i topazów niby ogrody podziemnego świata pełne barw kwiatów.

— „Ej to nie kwiaty“, odzywa się nadobna córa z nad Niemna, to cmentarz odwieczny duchów górniczej braci, to ich mogiły świecą tak ku wiecznej pamięci“.

Spuszczasz się coraz głębiej,odwracasz się i patrzysz wstecz w górę. Znowu nowe czarodziejstwa i obraz, jakiego zapewne równego na kuli ziemskiej nie ujrzysz. Przez olbrzymie podwoje otwartych łuków znowu czarowany jesteś, bo świątynie podziemne płoną eterem różowego światła, które oświeca legię wstępujących po schodach duchów. Widok ten wspaniałością swą przewyższającey opowiadanie Seherasady z tysiąca i jednej nocy, zamyka ci usta niemotą i nakazuje prawie wierzyć, że się znajdujesz rzeczywiście w królestwie duchów.

W tym momencie jednak budzi cię z tego mimowolnego snu na jawie harmonia tonów, która nie znaną dotąd potęgą echa wzbija się pod stropy falą i trzeźwi siłę duchową. Zbudziłeś się i otrzeźwiłeś, serce żywiej zabiło i czujesz że krew szybciej płynie po żyłach jakby elektrycznem prądem pędzona. Ogarnia cię pełen zachwyt życiodajny, roztwierasz ramiona, do oka ciśnie się łza radości niewysłowionej, uścisk miłości bratniej łączy cię z towarzyszem obok stojącym chociaż nieznanym, ale dusza twoja odczuwa, że on tak samo jak ty, jest Polakiem. Hymn, który dał hasło do tego objawu wiecznej miłości bratniej, jest nie inny, ale ta niczem niezwyciężona pieśń nadziei:

„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Takie obrazy i uczucia powtarzały się kilkakrotnie. Kaplica pobudzała ducha do mimowolnej skruchy przed Panem zastępów. Do tych obrazów czarodziejskich zaliczyć wypada i fantastyczny widok podziemnego jeziora, którego brzegi otoczone wieńcem różnokolorwych lampionów a przestrzeń oświecona bęgalskimi ogniami, wprawiały w zachwyt niedający się określić. Nie spuszczając się do jeziora dla braku czasu, przechodziliśmy nad takowem, przez co urok podnosił się do potęgi.

Zagłębiając się coraz dalej w ten łabirynt, doznając coraz innych wrażeń, które przeplatały tony muzyki przecinającej nam zawsze drogę jakby jakim cudem, gdyż zawsze nas wyprzedzała innemi galerjami doszliśmy do komory tak zwanej Gołuchowskiego. Rozległa ta nawa rozjaśniona światłem elektrycznem z muzyką umieszczoną na odrębnej galeryi, zamieniła się w nowego rodzaju niespodziankę, gdy u wnijścia powitał komitet przybywających a serdecznemi słowy zaprosił do chwilowego spoczynku i posiłku ciała. Pod kolumnadą udekorowaną, tworzącą olbrzymi szałas bufetowy, uginały się prawie stoły zastawione obficie wszelkiego rodzaju pieczystem na zimno, drobiem i wędlinami. Po rogach namiotu jakby baterye ciężkiego kalibru ustawione antałki tryskały piwem, a szeregi butelek napełnionych winem, jakby same do wyschniętych gardł atak przypuszczały. Liczna to była rzesza, która pragnęła posiłku bo licząca z górą tysiąc osób. Gościnność jednak dzielnych gospodarzy komitetu nie dozwoliła, aby ktośkolwiek nie nasycił się według woli. Była tam taka obfitość tych darów Bożych, że ich nawet tak liczna rzesza zwyciężyć nie potrafiła. Muzyka na górze zagrzmiała na cześć monarchy, a gromkie „niech żyje“! zabrzmiało ze wszystkich piersi. Zaraz po tem huknęło „Jeszcze Polska nie zginęła!“ W każdem obliczu błyszczała radość, zapał, nieomal szał. Żywe słowo okazało się niezbędnem, to też prawie z młodzieńczym zapałem wstąpił na podwyższenie wielce szanowny Dr. Majer, a przemówił witając drogich gości tak serdecznie, na tak dźwięczną nutę dla ducha polskiego, tak po naszemu, że z przepełnionej duszy wdzięcznością wołamy: — „Bóg zapłać! — Niech go Bóg zachowa nam jeszcze długo i w szczerstwem zdrowiu“.

O ile mogliśmy uchwycić słowa wielce zasłużonego jubilata, podajemy takowe chociaż w skróceniu:

go, że tak powiem, wielką doniosłość moralno-narodową, — bo wobec społeczeństwa, narodów ucywilizowanych nieomal całej kuli ziemskiej dają świadectwo żywotnej odrębności narodowej, której wiekowe katastrofy niepotrafiły wyplenić ani też zamulić w konglomeracie zaborczym, lub kosmopolitycznym. Wyniki zjazdów przyrodniczo-lekarskich dokumentują żywotność naszą i siłę, które dozwalają żywić tę niepłonną nadzieję, że lepsza przyszłość nasza jest przez Boga w prawach natury zapisaną.

Jakże się każda dusza polska radować musiała, gdy ujrzała w podwawelskim grodzie ten liczny zastęp nieodrodnej dziatwy, która wszelkie przeszkody zwalczając, ryzykowała nawet w wielu wypadkach wolność osobistą, aby stanąć do appelu, wykonać spowiedź powszechną ze spełnionych dotąd obowiązków. Widzieliśmy starców siwowłosych stojących po nad grobem, którzy zgórą po półwieku stojąc na wyłomach, wytrwali w tytanicznej pracy, tak jak to prawdziwym bohaterom przystoi. Widzieliśmy dojrzałych mężów w sile wieku, widzieliśmy młodzieńców o promiennem oku, przybywających z rozwiniętym sztandarem świętych ideałów, których ci najpierwsi pod ciepłem skrzydeł swoich wypielęgnowali.

Chcąc jednak przed narodem udowodnić tę mrówczą pracę i jej wartość, uważali za właściwe nieograniczanie się na słownej tylko spowiedzi, ale wykazać namacalnie, jaka doniosłość i jaka wartość realna jest tej pracy. Dla tego udokumentowania zestawiono wystawę „Przyrodniczo-lekarską“.

Zadanie to nie było jednak tak łatwem, jak się komuś zdawać może, gdyż tego rodzaju praca nie da się nawet w przybliżeniu porównać z ogólnem znaczeniem wystaw rolniczo-przemysłowych i innych, jakie obecnie są na porządku dziennym. Tam można nadrobić optyką — czyli mówiąc po prostu, blagą społeczną. Jednakowoż w dziale nauk ścisłych, byłby eksperymet taki dla wykonawców zanadto ryzykowny.

Być może przyznajemy to, że wystawa „Przyrodniczo-lekarska“ mieszcząca się w pięciu salach Sukiennic krakowskich, w stosunku do obszaru ziem polskich, była za zbyt miniaturową, ale kto rozważy nasze rozerwanie, kordony i brak środków materyalnych, wobec podkopywanej wiary w samodzielność, ten przyznać musi, po tem co widział, że komitet wystawowy dobrze się narodowi zasłużył.

„Historyczna wiadomość“ — o Wystawie Przyrodniczo lekarskiej, jaką tu podajemy podług sprawozdania komitetu, jest następującą:

D. 16. Czerwca 18(8 r., na posiedzeniu Towarzystwa lekarskiego krakowskiego, jeden z lekarzy obecny jako gość“, podniósł myśl swoją dawniejszą, wnosząc, aby Towarzystwo zajęło się urządzeniem Zjazdu lekarzy polskich, w celu naradzenia się nad sprawami odnoszącemi się do nauki lekarskiej, urządzeń publicznych, lekarskich i perjodycznych Zjazdów w podobnym celu na przyszłość; na pierwszem zaś posiedzeniu Wydziału gospodarczego „złożył na pismie projekt Wystawy przedmiotów majacych styczność z naukami przyrodniczemi i lekarskiemi.“ Rzecz ta na razie w zasadzie przyjęta w następnym roku została doprowadzona do skutku i od dnia 13. do 18. września 1869 r. odbył się w Krakowie pierwszy Zjazd lekarzy i przyrodników polskich, a jednocześnie w salach Muzeum techniczno-przemysłowego krakowskiego, z czynnym udziałem Zarządu tegoż zakładu, pierwsza wystawa lekarsko-przyrodnicza w Polsce, która była jednocześnie pierwszą Wystawą urządzoną wyłącznie w celach lekarsko-przyrodniczych, w świecie naukowym.

Obecna wystawa druga z porządku, jest równie też jak i pierwsza połączona ze Zjazdem lekarzy i przyrodników polskich. Historyą zawiązania się komitetu Wystawowego i czynności tegoż zapożyczamy z Dziennika III. Zjazdu, w którym ta rzecz treściwie jest przedstawioną:

„Na jednem z pierwszych posiedzeń Wydziału gospodarczego III. Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie zapadła uchwała, aby równocześnie ze Zjazdem odbyła się Wystawa przedmiotów, mających styczność ze sztuką lekarską i naukami przyrodniczemi.“

„Wydział gospodarczy uchwalając urządzenie takiej Wystawy poczytał za główne jej cele: wykazanie ruchu na polu badań umiejętnych, przedstawienie środków naukowych pomocniczych, tudzież co w gałęziach przemysłu i rękodzieł stojących w najbliższym związku z powyższemi umiejętnościami wyrabia się w kraju i nie potrzebuje być sprowadzane z zagranicy a nadto mniemał Wydział, że ponieważ przed 12 laty, podczas Igo Zjazdu lekarzy i przyrodników w Krakowie, odbyła się podobna Wystawa, przeto obecnie można będzie mieć już pewną podstawę do osądzenia, o ile w ciągu tych lat 12 przemysł krajowy rozwinął się właśnie w tym kierunku.“

„Do zajęcia się urządzaniem Wystawy wybrał Wydział gospodarczy z swego łona osobny Komitet składający się z Dra Adryjana Baranieckiego, jako przewodniczącego, z PP. Dr. Lutostańskiego i prof. Juliana Grabowskiego jako członków. Z powodu jednakże różnych przyczyn materyalnych sprawa Wystawy doznała dłuższej zwłoki i dopiero 31. marca 1881 r. Wydział gospodarczy przeznaczył 900 zł. jako fundusz na Wystawę, i dał Komitetowi wystawowemu pełnomocnictwo do działania.“

„Komitet wystawowy wzmocnił się przez przybranie kilku Członków tak, że ostatecznie skład komitetu był następujący: Dr. A. Baraniecki przewodniczący, Dr. H. Schramm sekretarz, p. Trauczyński mag. farmacyi, jako podskarbi, a PP. prof. Julian Grabowski, prof. Jelski, Karol Langie, Dr. Lutostański, dyrektor budownictwa miejskiego Moraczewski, prof. Rozwadowski i p. Szyszyłowicz jako Członkowie.“

„Nadto dla energiczniejszego działania zaprosił Komitet Towarzystwo lekarzy galicyjskich i Towarzystwo imienia Kopernika we Lwowie, jakoteż Towarzystwo lekarskie warszawskie, aby te z grona swego wyznaczyły podkomitety, któreby zajęły się staraniem o wystawców we wschodniej części Galicyi i w Królestwie Polskiem. Towarzystwa te przychyliły się do prośby Komitetu i we Lwowie utworzonym został podkomitet złożony z P. Dunina Wąsowicza, docenta Wszechnicy lwowskiej jako przewodniczącego, z P. Dr. Petelenza i P. Leona Syroczyńskiego, jako Członków i podkomitet w Warszawie, w którym raczyli wziąć udział PP. Dr. Leonard Dudrewicz, Dr. Roman Jasiński i P. Wincenty Karpiński, aptekarz.“

„Tak więc cały komitet wystawowy składał się z Komitetu głównego w Krakowie i z podkomitetów we Lwowie i Warszawie. Odezwa zaś do Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu i Toruniu względem utworzenia podobnych podkomitetów dla W. Księstwa Poznańskiego, została bez odpowiedzi.“

Uorganizowawszy się w ten sposób, Komitet zajął się kwestyą lokalu Wystawy, a po długich rokowaniach postanowiono urządzić Wystawę w salach Sukiennic, na co też Prezydent miasta, Dr. Weigel udzielił swego pozwolenia.“

„Następnie dokładał Komitet wszelkich starań, aby zebrać jak największą liczbę wystawców, aby Wystawa odpowiadała rzeczywiście swemu celowi i miała rzeczywiście cechę Wystawy naukowej. Krótkość czasu stanowiła tu główną i nieraz niemożebną do pokonania trudność.“

Dodać jeszcze wypada, że komitet miał z mnóstwem trudności do walczenia, a to głównie z powodu, że tego rodzaju wystawy były u nas dotąd nieznane. Utrudniało to wielce, a nawet uniemożebniało zestawieuie katalogu na dzień otwarcia. Pomimo to wystawę możemy nazwać udałą — świetną.

Zadaniem „Strażnicy polskiej“ będzie, podać opis o ile to być może szczegółowy. (C. d. n.)

Sprawa obsadzenia biskupstwa przemyskiego i „Dziennik polski“

Przemyśl dnia 27. lipca.

Sposób, w jaki niektóre organa w błąd wprowadzają opinię publiczną w sprawie obsadzenia osieroconej niedawno przez skon nieodżałowanej pamięci ks. Macieja Hirschlera, katedry biskupiej obrz. łac. w Przemyślu, zmusza nas do poświęcenia tej sprawie kilku uwag.

Z poważnej strony dał się słyszeć głos, iż katedrę tę zająć powinienin kapłan usposobienia nie fanatycznego, z stosunkami i potrzebami kraju jako też i z położeniem duchowieństwa obeznanego; albowiem wypada uwzględnić, że dyecezya przemyska zajmuje część kraju zamieszkałego przez ludność obojga obrządków katolickich i takież duchowieństwo. Zatem tylko mąż posiadający powyższe przymioty może oddać usługi kościołowi i krajowi. Zdaje nam się, że kapitułom przemyskiej ani lwowskiej na takich kandydatach nie zbywa. Zanim jednak z kompetentnej strony jaki głos się odezwał, już „Dziennik polski“, stojący na wiadomym lokajskim żołdzie, a czyim to nie jest tajemnicą, produkcya exnotaryusza, który organ ten darowany otrzymał znowu jako posag i zamieniwszy go na druk nieokreślonej barwy politycznej podjął w tej sprawie służalczą agitacyę.

Jakkolwiek „Dziennik Polski“ niedawno temu, przy ostatnich wyborach z kuryi wiejskich do Sejmu poniósł klęskę i nie wywarł wpływu na zwycięstwo najczerwieńszej mitry w Galicyi, bo lud pojmując prawdę, wolał wybrać biednego ale w każdym wypadku uczciwie dla niego pracującego szermierza i niedał się zbałamucić, „Dziennik polski“ nieodstraszony jednak tą nauczką pełni dalej lokajską służbę i rozpoczyna nową propagandę. Fabrykanci pewnych dygnitarstw wpływowych nie znalazłszy w kraju ani księcia ani hrabiego, któryby na wakujące dostojeństwo kościelne kwalifikacyę posiadał, wyszukali kanonika aż w Ołomuńcu i w ten sposób, wiedząc czy nie wiedząc o tem wprowadzony został ks. Potulicki *in effigie* na biskupstwo przemyskie. Pierwszy raz doszedł nas słuch o duchownej karjerze ks. Potulickiego, gdy przed kilku

---

„Fizyka uczy nas, że im głębiej zapuszczamy się w ziemię, tem głębsze panuje ciepło. Zdawać by się powinno, że i nasze serca, o których gorącym patryotyzmie nikomu powątpiewać nie wolno, tutaj w tej głębi tają i zbliżają nas wzajemnie do siebie. Nie wątpię jednakże, że gdy się znowu i na wyżynach spotkamy, serca nasze również dla ojczyzny żywo bić będą. Mamy tutaj sposobność przypatrzenia się ogromnemu bogactwu naszego kraju, ale to bogactwo i ta okoliczność, że w pomyślniejszych żyjemy stosunkach aniżeli bracia nasi, nakładają na nas i ważne obowiązki Jakże mamy takowe spełniać? — Pamiętajmy, że kto chce przyszłości, powinien się na przeszłości opierać. Bo kto postępuje innemi tory, ten błądzi, ten idzie manowcami.

Zapytuję was bracia, którzyście przybyli z dalekich stron, czy was jedynie sprowadziła chęć nauki i czyśmy się tylko dla niej zebrali w Jagielońskim grodzie? Nie — pobudki były daleko ważniejsze, to potrzeba uraczenia się ojczystą szatą nauki, potrzeba uścisku dłoni bratniej i ogrzania jej przy bratniej piersi, aby nabrać nowych sił do pracy“.

Szanowny mówca wzniósł toast na cześć gości. Słowa te tak głęboko się odbiły w duszach słuchaczy, szczególniej pomiędzy braćmi z innych zaborów, że nie silimy się nawet, aby zapał ten oddać. Dłoń z dłonią się splatała, pierś z piersią łączyła, jakby dla stwierdzenia niespożytego sojuszu bratniego.

Dr. Koźmiński z Warszawy spełnił toast na cześć Jubilata. J. Gniewosz, redaktor „Sztandaru polsk.“ i „Strażnicy polskiej“ ze Lwowa, zwrócił uwagę na orła jako króla ptaków i lwa jako króla zwierząt uznanych w przyrodzie od wieków przez społeczeństwo ludzkie.

„Dwa narody wybrały tych królów jako godła sztandarów narodowych. Biały orzeł i lew czeski prowadziły hufce do zwycięztw i chwały. Te godła wspaniałe łączyły dwa pobratymcze narody, niechajże więc i dzisiaj łączą szczerością i niczem nie zwalczoną miłością bratnią. W złej i dobrej doli niechaj nas łączy jeden duch przyszłości. Z duszy i serca witamy naszych pobratymców Czechów. Niechaj żyją! — Boże nam dopomóż!“

„Niech żyją!“ „Slava!“ „Na zdar!“ „Szczęść nam Boże!“ — brzmiało jakby grzmotem ze wszystkich piersi. Czech, Polak, Litwin, Rusin, jakby w łańcuch nierozerwany łączył ogniwa. Jeden drugiemu ściskał dłoń, a w oczach perliły się łzy radości jak djamenty.

Dr. Fricz z Pragi, którego cała rodzina od ćwierci wieku przeszło znaną jest z wiernej przyjaźni dla Polski, dziękował słowy na jakie się tylko tak szlachetna dusza jak jego zdobyć mogła.

Daj Boże, aby cały naród czeski zapałał taką szczerą, pobratymczą miłością dla nas jak Tonner, Fricz, Janowski i ci wszyscy, którzy przybyli na te dnie do stolicy podwawelskiej, a Bóg związkowi temu nie poskąpi zapewne błogosławieństwa swego. Pobratymcy nasi zapewne uwierzą, że za szczerość tylko szczerością odpłacać umiemy.

Pani K. deklamowała wiersz „Do matki Polki“. Stary pionier Dr. Szokalski, którego broda i głowa pokryte srebrnym włosem, z rzeźką skwapliwością wstąpił na podwyższenie, i prawie gromkim tonem odpowiedział:

„Dzisiaj, gdy nas wszystko wzywa do niezmordowanej budowy przyszłości, nie wolno nam kwilić i boleć, lecz pracować wszelkiemi siłami, bo dzisiaj nie ma już kajdanów, któreby mogły ducha przygnębić“.

Uznanie tej krzepkiej myśli wzniosło się nieomal do zenitu. „Niech żyje stary i dzielny pionier!“ powtarzało echo echu, odbijając się po labiryntach podziemia.

Kapela górnicza zagrała „Boże coś Polskę“. Pokrzepieni na ciele i ożywieni na duchu, dążyliśmy dalej, spiewając ten hymn.

Zatrzymano nas w olbrzymich rozmiarów komorze, lecz zaledwo kilku kagankami oświeconej. Tu nas oczekiwał wspaniały i nieznany dotąd widok. Z głębin pod poziomem na którym staliśmy, wypłynęły cztery postacie górnicze, których siedzenia stanowiły pętlice przytwierdzone do głównej liny. Każdy górnik miał płonącą pochodnię w rękach, którą w wolnych ruchach zakreślając koła, jakby nas witał. Kwartet ten wznoszący się w górę dopóki nie zniknął w górnym regionie, śpiewał na nutę pełną skruchy starodawną pieśń, jaką się prapraojce górnicy modlili do Boga-rodzicy. Widok ten nie mający zapewne równego sobie i melodya rzewnego hymnu oddziałały uczuciem, jakie tylko przy największem

miesiącami mianowano go kanonikiem kapituły Ołomunieckiej, przyczem dowiedzieliśmy się, że nowy kanonik liczy zaledwie 35 lat. A więc, gdy do uzyskania godności kanonickiej potrzeba przynajmniej dziewięcio-letniego wykonywania funkcyj kapłańskich, ks. Potulicki co tylko tego warunku dopełnił. Ze zdziwieniem przeto dowiedzieliśmy się, że ks. Potulicki przez znany „Dziennik polski“ z nieszczególnego zapachu, a właściwie przez czerwoną wyrocznię po za tem pismem stojącą, nominowany został kandydatem na przemyską stolicę biskupią. Nie znamy ks. Potulickiego, lecz uważamy powierzenie temuż rządów dyecezyi, jako kapłanowi młodemu przebywającemu dotąd po za granicami kraju, którybу się uczyć mógł dopiero i poznać potrzeby i stosunków, zupełnie rzecz niewłaściwą a nawet zgubną.

Nie powoduje nami do tego orzeczenia odrębność narodowo prowincyonalna, lecz nie możemy się zgodzić, aby w obecnych czasach zapanować znowu miał nepotyzm rodowy, którego głównym zadaniem koncentrowanie splendorów i widoków familijnych. Gdyby zresztą ks. Potulicki należał do starożytnego rodu, na którego drzewie genealogicznem spisaneby były zasługi dla narodu a mianowicie w ostatniej epoce porozbiorowej, w takim razie jeszcze by się można zgodzić, aby w jego ręce powierzyć dostojeństwo biskupie. Przeglądając jednak uważnie kroniki Wielkopolskie znajdujemy tam wprawdzie nazwiska hr. Potulickich, lecz nigdzie nie ma ani najmniejszego śladu, aby w pracach narodowych brali udział. O jednym tylko zmarłym w tym roku wyczytaliśmy w dziennikach, że bardzo skrzętnie gromadził pieniądze. Dorobił się z acznego mienia, ale żywot jego obywatelski był zapachu co najmniej nijakiego. Otóż gdybyśmy nawet ojcu J. I. Kraszewskiemu poruczyli zestawienie bilansu rodu Potulickich, nie wiem czyby takowy wypadł na ich korzyść. Być może, że po zmięszaniu krwi chociaż po kądzieli, ród ten zdobędzie sobie jakieś zasługi, ale jak dotąd jedynie dla tego, że ktoś jest hrabią i spokrewnił się z książętami, to jeszcze nie jest argument, aby pomijać innych dostojnych kapłanów dyecezyi kraju. Zarząd dyecezyą przemyską jest zresztą bardzo trudny i wymaga wytrawnego kapłana, dziwilibyśmy się zatem ks. P. gdyby tak ciężkie obowiązki na siebie chciał przyjąć i godniejszemu nie ustąpił. Jeżeli mu nie chodzi tylko o zaszczyty ale o rzeczywiste dobro, to honor i uczciwość kapłańska wskazują mu, aby położył kres niefortunnej agitacyi, jaką rozwijają możni protektorzy.

W końcu zwracamy uwagę na notaryalną redakcyę „Dziennika polskiego“, która w dziwnie niezgrabny sposób wytykając szydło lokajskie z worka, zamieściła wiadomość (naturalnie z dobrze poinformowanego źródła powziętą), że ks. Potulicki zostanie niewątpliwie biskupem przemyskim; a gdy wiadomość tę krakowski „Czas“, wiedeńska „Tribüne“ za „Dziennikiem polskim“ powtórzyły, nie wahał się „Dziennik polski“ umieszczać „telegramów z Krakowa i Wiednia“ donoszących, że „Czas“ lub „Tribüne„ (chociaż wyraźnie wskazywały, z jakiego źródła czerpią wiadomość o ks. Potulickim) z dobrze poinformowanego źródła podają, że ks. P. ma zostać biskupem przemyskim. Takie to tumany puszcza Times nadpełtwiański z Halickiej ulicy, bałamuci swych czytelników, prowadzi agitacyę wbrew najżywotniejszym interesom kraju. Nie dziwimy się notaryalnemu redaktorowi, że tak spiewa, jakie mu natchnienie daje krasiczyńskie piwko, bo tenże nawet podobno w kontrakcie nabycia „Dziennika polskiego“, podpisał pewne zobowiązania. Pozostawiając jednak te prywatne interesa na uboczu, podnosimy tych kilka słów przestrogi w nadziei, że kandydat na biskupa przemyskiego powinien być jedynie wskazany przez duchowieństwo, które tem samem położy kres niefortunnym agitacyom i zabiegom, które niczem nie licują z naszymi potrzebami duchownymi i narodowymi.

KORESPONDENCYE.

Cieplice Trenczyńskie.

Na południowo zachodnim stoku Karpat w wąwozie doliny rzeki Waagi o dobrą milę od miasta Trenczyna w uroczej okolicy biją gorące źródła wody siarczano wapiennej, własności lecznicze posiadającej. Szukający ulgi w cierpieniach mieszkańcy Lwowa i Galicyi mogą podróż odbywać koleją z Przemyśla przez Łupków, Koszyce, Eperies do Sillein, albo przez Kraków, Bogumin do Sillein, skąd do Cieplic Trenczyńskich odległych 85 kilometrów, jedzie się wozem pocztowym lub dorożkami codziennie kursującemi. Można dostać się koleją do m. Trenczyna, ale to droga zbyt daleka, bo przez Preszburg wiodąca. Podróżni zwykle obierają drogę na Bogumin jako najkrótszą i stosunkowo tańszą, bo kupując bilet jazdy w Krakowie do Sillein i z powrotem, korzystają z opustu 33% przez zarząd kąpielowy wyrobionego.

Pomijając sielankową legendę o pierwotnem odkryciu źródeł, zaznaczamy, że: pierwszą wzmiankę o tem zdrojowisku napotyka się w dziele Wilhelma Wernhera pod tytułem „De admirandis Hungariae aquis“ z r. 1551. Następnie Tomasz Jordan w dziele pod tytułem „De aquis medicis etc.“ wydanym w Frankfurcie w r. 1586 poświęca mu rozdział pod nazwą „Aquae Trenchinenses“, gdzie opisuje, iż wtedy dla przybyłych chorych nie było mieszkań, zdroje nie były w zbiorniki ujęte, że bogatsi zjeżdzali się z całym dworem i rozbijali namioty, ubożsi zaś w chatach z gałęzi uplecionych. W komentarzu Hermana z r. 1726 „De Thermis Trenchinensibus“ znajdujemy, iż wtedy stanął pierwszy obszerny dom murowany i dwa drewniane, które zajmowali możniejsi, a reszta mieszkała w chatach u okolicznych wieśniaków. Dopiero w r. 1752 hr. Józef Illyesházy ujął źródła w zbiorniki z upustami i wybudował kilka wygodnych domów. Dzieło rozpoczęte prowadził dalej hr. Stefan J., pomnożył budynki i założył park. Następnie właściciel br. Wilhelm Sina i jego spadkbiercy doprowadzili do tego, iż dziś Cieplice Trenczyńskie są w Węgrzech jednym z najlepiej urządzonych zakładów kąpielowych. Obecnie właścicielką jest księżna de Castries, a dyrektorem wiedeński balneotechnik Dr. Jan Nep. Heinrich.

Kto chce ciągnąć zyski, ten musi robić nakłady. Teraźniejszy zarząd administracyjny pojmując zadanie, nie szczędzi starań, aby gości kąpielowych zadowolnić i w miarę środków dyspozycyjnych sprostać wymogom. To też naród ściąga się z różnych okolic, a liczba chorych w sezonie wzrastając 2000 przenosi. Nie jestto rozgłośny Karlsbad, Vichy, Ostenda, Baden-Baden itd. ze swymi zbytkami, rozpustą i nieuniknioną drożyzną, — dla tego też brak tu arystokracyi, panków różnego rodzaju, gogów i utracyuszów; prostota w życiu i skromność niewymuszona panuje. Nigdzie nie dojrzysz strojów niewieścich, lub wykwintnych męzkich ubiorów — wszyscy chodzą w codziennej zwykłej odzieży. Ceny żywności i pomieszkań umiarkowane i niższe są od cen w najlichszym zakładzie galicyjskim praktykowanych. Trzema guldenami dziennie wliczając kuracyę, przyzwoicie opędzić się można. Przeważnie ludzie średniego stanu tutaj zjeżdżają; spora liczba księży zwraca uwagę. Do bezpłatnych rozrywek należą spacery w parku i górach pysznie urządzone, tudzież orkiestra instrumentowana na sposób węgierski, dwa razy dziennie czardasze przygrywająca. Nadciągnęła tu także na kilka dni wojskowa muzyka inwalidów z Tyrnawy, produkując się na placu wieczorami, ta za wynagrodzeniem słuchaczów z datków dobrowolnych. Czytelnia posiada czasopisma węgierskie, niemieckie, czeskie, z polskich dotychczas tylko dwa, który to brak zarząd obiecuje uzupełnić nową prenumeratą, w bibliotece książek polskich zaledwie dwadzieścia kilka.

Jest tu teatr niemiecki dający codziennie popołudniu przedstawienia — słabo odwiedzany, z wyjątkiem komicznych operetek, na które publika chętnie się zbiera. Wieczory tańcujące co niedziela urządzane słabe mają powodzenie, — chorzy udziału nie biorą, zdrowych mało, ciekawych nie wiele; jeżeli miasto i okolica dostarczy amatorów, to uda się jako tako. — Na brak życia towarzyskiego narzekają, a winni tego sami sobie, bo każdy ślimaczy żywot prowadzi, dobrowolnie się zasklepiwszy w ciasnej skorupie.

Polaków coraz więcej przybywa i to ze wszystkich dzielnic, czego dawniej nie bywało. Przypisać to jedynie należy osiedleniu się od dwóch lat w zdrojowisku zdolnego lekarza Polaka Dra Stefana Filipkiewicza, do którego wszyscy rodacy się garną. Rzecz naturalna — przybywający z Królestwa, Litwy, Wołynia, nie władając niemieczyzną radzi są wielce, że mają konsultacyę po polsku. Lista gości kąpielowych w obecnym sezonie nazwisk polskich sto kilkadziesiąt podaje tak, że 20% ogółu stanowi. W przyszłym roku i następnych, jeśli frekwencya w tym stosunku wzmagać się będzie, to pomieszkań zabraknie, na co uwagę zarządu i przedsiębiorców zwracamy.

Panowie Galicyanie z amatorstwem popisują się niemczyzną, naśladując w tem licznych żydków, czego Poznańczycy unikają; — dwaj ruscy księża z pod Przemyśla, udający rodowitych germanów, śmiech na spacerze wzbudzili. Manja tytułów także grasuje; nie mogąc użyć tytułu grafa, bodaj „Ritter von“ dołoży przed zwykłem nazwiskiem.

Lud okoliczny, to sami Słowacy — uprzejmi, pobożni, rzetelni. Mowa ich dla nas zupełnie zrozumiała i nawzajem polską wybornie pojmują. O zmadziaryzowaniu ich ani myśleć i po wielu tysiącu latach, różnica języka jest kardynalną zaporą. Ten bratni język tak dla nas przyjemny w ustach żyjącego ludu, jest niestety wielce upośledzony — brak mu dobrej gramatyki, a pisownia pod czeskie formułki naciągnięta. Trochę dobrej woli ze strony naszych lingwistów i niejakiej ofiarności na poprawę gramatyki, a można by ten język na właściwe mu polskie tory

---

skupieniu ducha w Świątyni Pańskiej zdobyć można. — Z zadumy obudził nas trzask, łom, świst i syk. Jakby czeluście piekieł się otwarły lub Wezuwiusz zbudził ze snu głębokiego: zajaśniała cała grota — wypuszczono cały snop rakiet wijących się w zwoje wężowe, a zpod stropu spadał deszcz różnobarwnych gwiazd. Słońca i gwiazdy w tęczowych barwach, symboliczne górnicze znaki wznoszące się w powietrzu wprawiały widzów w zachwyt podziwu. — Był to widok groźnie piękny, wspaniały. Zaledwie ostatnia pochodnia bengalska zagasła, odezwał się chór męski, ale taki dziarski i serdeczny i tak przemawiający do duszy, chociaż spiewany dźwiękiem mowy odrębnym od naszej, że w zachwycie zapanowała uroczysta cisza, aby jednego tonu nie stracić. To nasi pobratymcy Czesi tak spiewali o tem, co miłują i co ich boli. Na dowód, że i Polak łatwo przyswaja sobie pobratymczą mowę, nie wołano już na podziękę „niech żyją!“ ale: „slava!“ — „na zdar!“

Szybkim krokiem posuwaliśmy się naprzód, do ostatniej stacyi podziemnej wędrówki, a dochodząc do niej, słyszymy, jak grzmi kapela z chóru; rzęsiste światło nieomal oślepia wzrok i wchodzimy do wspaniałej sali balowej. Dr. Lutostański, jeden z niezmordowanych członków komitetu, klasnąwszy w dłonie zawołał: Mazura!

Mój Ty Boże święty — jakby pod wrażeniem błyskawicy zginął gdzieś uroczysty nastrój. Jakby gromada duchów, przybrana w szaty gnomów podziemnych, wysuwają się pary jedna przed drugą i — „hejże ha! gdy muzyka gra — po staremu — po naszemu — krzesz w obcasy, tniéj hołubce! — Mazura kto żyje!“ — Warszawiak z Lwowianką, Litwin z Krakowianką, Wielkopolanin ze Żmujdzinką, brat Koroniarz z Ukrainką, hulają, aż im się dusze i serca śmieją. Patrz! patrz! na tego młodzieńca z czarnym włosem i jak węgiel skrzącym okiem — na białej jego piersi przewieszona wstęga o naszych barwach a na tych świeci złoty lew. — Hej to młodzian z nad Wełtawy, to akademik z Pragi; znać, że nie obce mu nasze zwyczaje, bo hula mazura z zacięciem, jakby się pod Wawelem rodził. — Wysuwa się Petersburczyk, zwinny jak wiewiórka i to tak, że zrzuć go z dachu, to jeszcze na nogi stanie — zwyczajnie dziecko Ukrainy, wychowany na „tropaku“; ale co to, dla niego i „mazur“ z nad Wisły nie dziwy: więc sunie do dziewoi o płomiennem oku z nad Bugu, odsadza jak kota od mleka jakiegoś asystenta i dalejże w hołubce za Mazurami. Tu znowu jakiś poważny profesor, istnie chodząca analiza chemiczna, przysiągłbyś że jeszcze nogą nie ruszył po muzyce; ale dziś to co innego — umarli gotowi z grobu powstawać i popląsać; więc i p. profesor, choć trochę z łacińska, ale przypomina sobie dawne czasy i wycina obcasami, jak umie. — O cudo! a otoć to znowu nie kto inny, jak ten doktor, co to całe życie ślęczy nad preparatami mózgowymi, susząc je na szkiełkach, co zdaje się, jakby innej przyjemności w życiu nie zaznał, prócz przy mikroskopie. Przeciera okulary, nasadza na nos i pilnie przegląda przesuwające się pary. Sunie jakiś botanik z piękną blondynką; preparator jednym skokiem już jest przy nich i — „odbijanego!“ Już wyrwał dziewoję zanim się botanik spostrzegł. Słowem, wszyscy mężowie ścisłej nauki: starzy i młodzi szlifowali błotko po posadzce, aby módz sobie później powiedzieć: i ja tańczyłem tam mazura. Po tem „poleczka“ zawirowała jakby huraganem; trzęsły się i podrygały powagi naukowe. Nie widziałem wprawdzie, ale nie poręczam, czy pp. Drowie Majer, Szokalski i Dudrewicz także hołubców nie wycinali. Co do mnie, pomimo 55 lat, jakie dźwigam na barkach, nie mogłem się oprzeć, gdy mnie pani konsyliarzowa z nad Prosny do figury wybrała.

Wszystko jednak ma swój koniec; to też i kapela górnicza umilkła, a panowie gospodarze wzywali do odwrotu. Kwandrans nie upłynął a już byliśmy znowu na powierzchni ziemi i podążaliśmy na stacyę kolei do wagonów. Ale i tu było wesoło; muzyka grzmiała na pożegnanie miłych gości i przy powiewie chustek: „niech żyją!“ — „na zdar!“, „slava!“ — wracaliśmy w gościnne mury Krakowa.

Wycieczka ta, którą chociaż słabem piórem starałem się przekazać dalszej pamięci, pozostanie zapewne na długo miłem i serdecznem wspomnieniem dla tych, co w niej brali udział.

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

z łatwością skierować. Szczupła intelligencya i urzędnicy choć pochodzenia słowackiego, języka nie uprawiają, bo za Węgrów przy małych prerogatywach się poczytują. — Naród zaś prosty nie wiele sobie od panów przyswoił, chyba że chce zakląć energicznie, to po węgiersku, bo ten język w tym guście dosadne wyrażenia posiada. Mieszkają w drewnianych i murowanych chałupach dymnych, o wysokim dachu bez komina, — nie tylko po wsiach, ale i w miasteczkach są takie budowle; we wszystkiem przemaga tradycya i stary obyczaj.

Gościniec krajowy dobrze utrzymany, a drogi wiejskie wysadzane drzewami owocowymi, które obficie zarodziły. Żydziuka polskiego z Galicyi zaraz się pozna, nie wytrzyma on bowiem, aby nie strącił z drzewa owocu niedojrzałego, co tutejszym dzieciom na myśl nie przyjdzie, bo u tych już jest wyrobione poszanowanie dla publicznej własności.

Po dniach słotnych i chmurnych pogoda się ustaliła — oblicza są jaśniejsze, otucha ludzi ogarnia, a z nią budzi się nadzieja, że kuracya pomyślniejszy obrót przybierze.

Kraków 25. lipca.

Gdy patrzę na stary gród Krakusa, na orły nasze nieprzyćmione nocą carskiego nietoperza, na lud nasz krakowski, wspominający ze czcią pamięć starego Bartosza, na zapał, jaki wszystkich nas tu zebranych z najdalszych Polskiej niegdyś ziemi zakątków ożywia, gdy widzę, iż duch zwątpienia nie zatarł jeszcze narodowego ducha: ogarnia mię dziwne a rzewne uczucie. Zaczerpnąwszy z tego źródła ożywczego kropel kilka, odetchnąwszy całą piersią swojskiem powietrzem, unosząc w duszy obraz bujnych łanów krakowskich wrócę z nowym zapasem sił do pracy, z nowym zapasem wytrwałości; bo kto o duchu narodu nie zwątpił, temu sił do walki chociażby z caryzmem starczy.

Snem mi się prawie wydaje, że niema dwóch tygodni od chwili, gdy opuściłem gród carowy — snem mi się wydają jakby we mgle widziane złociste kopuły cerkwi, wydartem braciom naszym mieniem bogato uposażonych — snem mi się wydaje ów gród smutny, ponury, jak błota na których je wszechwładza carska wzniosła. — Ale przejdźmy do rzeczy.

Zdawałoby się, że być w Petersburgu a nie widzieć cara, tak coś jak papieża w Rzymie — to wcale nie trudna; a jednak zadanie to dla śmiertelnika, co sobie na stryczek lub co najmniej Sybir zasłużyć nie życzy — niemożliwe. Niczem chiński *Syn nieba* — tam poddani mogą padłszy plackiem oglądać oblicze bagdy-chana — w Rosyi panujący jest grubą zwierzyną, na którą poddani wyprawili polowanie. — Jeżeli kiedy, to dziś może car powtórzyć słowa, które Puszkin wkłada w usta Borysa Gudonowa: „Ach, tiażeła ty szapka Monomacha“ (Ach, ciężką jesteś mitro Monomacha). W stolicy siedzieć było niewygodnie, bo jakkolwiek pałac na pustem stoi miejscu, otoczonem li tylko rządowymi gmachami, doświadczenie nauczyło, że i tam *itur ad astra* — wyniósł się więc Aleksander do Gatczyny. Lecz i w tem zacisznem ustroniu dosięgła go ręka Opatrzności; piorun zgruchotał kolumnę pałacu w chwili, gdy car był na balkonie. Przerażony a zabobonny przeniósł rezydencyę do Peterhofu a dla zabezpieczenia się od piorunów ziemskich i niebieskich — rozstawił na dwie mile w około warty z rozkazem nieprzepuszczenia nikogo bez carskiego ukazu. Zaszczytu tego doznały dotychczas tylko dwie delegacye: od traktyera Małojarosławca i Kaługi w Moskwie, złożone z kelnerów i kucharzy, co w obec znanego nieprzyjęcia deputacyi polskiej dziwnie wygląda.

Po słynnym manifeście o „samodzierżawiju“, wydanym w dniu, w którym Rada państwa miała roztrząsnąć ostateczny projekt konstytucyi, usunął się j e d y n y c z ł o w i e k, który znał stan kraju, i jeden mógł złemu zaradzić — hr. Loris-Melikow, za nim, fakt to w dziejach Moskwy bezprzykładny — całe ministeryum podało się do dymisyi — został największy łotr z całego grona: Nabokow, minister sprawiedliwości.

Ogólny nastrój nowego ministeryum każe się domyślać, że Makow znowu do władzy powróci a Katkow, co najmniej kaclerzem zostanie.

Rozsądniejsi Moskale uciekają tłumnie na wieś lub za granicę; w stolicy ponuro i pusto — co krok spotykasz aniołów stróżów w fijołkowych mundurach vulgo fiołki chełmiaste — policyantów uzbrojonych od stóp do głów, a co krok to w innym uniformie. Nie dość bowiem, że od nich zaczęto r e f o r m ę (mundurów) całej armii na wzór ubioru konduktorów kolejowych, lecz dodano im do pomocy dwa bataliony gwardyi. Wszystko to znudzone ziewa, nic nie robi lub aresztuje ludzi najniewinniejszych, — a co gorsza, zaczynają się przekonywać, że nihilistów jeszcze nie wszystkich uprzątnięto a zachodzi wielka kwestya, czy nie powieszono wielu zupełnie niewinnych, którzy najstraszniejsze zbrodnie przyjęli na siebie, byle uwagę oprawców odwrócić od rzeczywistych działaczy. A nielada to byli działacze — bo oto generał-admirał książę Konstanty Mikołajewicz, oskarżony przez prezydenta miasta, byłego admirała Baranowa o dostarczenie za pośrednictwem oficerów marynarki dynamitu nihilistom, podług urzędowej wiadomości „raczył złożyć z siebie ciężkie brzemię obowiązków służbowych, raczył wyrzec się 400.000 rubli pensyi i zaszczytów, i raczył odjechać do dóbr swoich, aby tam pędzić życie prywatnego człowieka“ — czyli, tłumacząc to na język nieoficyalny — złożony z dowództwa, pozbawiony pensyi i zmuszony do opuszczenia stolicy.

W nieobecności cara rządy sprawował brat jego Włodzimierz — lecz że, jak stary Nestor powiada „ruskij trebujet piti, bez sieho nie możet żyti“ — tak też Jego Wysokość podhulawszy dobrze z kolegami oficerami gwardyi, kazał kilku obecnym na hulance starym zasłużonym generałom tańczyć „tropaka“, skąd oburzenie w mieście tak było silne, że pomimo wszechwładztwa złożonym został z posady głównodowodzącego gwardyą.

Wspomniałem o Makowie, byłym ulubieńcze byłej cesarzowej; nie od rzeczy będzie przytoczyć tu niektóre jego sprawki, dobrze cechujące rządy moskiewskiewskie XIX. stulecia, a bardzo mało w Rosyi nawet znane. Chcę mówić o słynnej darowiźnie gruntów w gubernii Umfińskiej, Permskiej i Oremburgskiej. Donacye te otrzymeli Lieven, Greigh i Maków, każdy po kilkadziesiąt tysięcy dziesiatyn pięknej gleby i lasów odwiecznych b ę d ą c y c h w ł a s n o ś c i ą p r y w a t n ą. Lieven i Greigh zrzekli się tego prezentu, dla tak gorliwego wszakże wyznawcy moskiewskiej polityki jak Maków był to kąsek zbyt smaczny. Przypadły mu w udziele ziemie Baszkirów i Kozaków Jaickich. Chcąc być wspaniałomyślnym p. Makow raczył koczującym Baszkirom darować po 30 dziesiątyn ziemi, zatrzymawszy sobie łąki, lasy rzeki i jeziora, które im za wygórowaną opłatę wypuszczał w dzierzawę. Tak wielkiego dobrodziejstwa, tak silnego bodźca do cywilizacyi, osiedlenia i zajęcia się pracą około roli, o której żaden z nich nie miał wyobrażenia nie mogli zrozumieć niewdzięczni Baszkirowie i i śmieli twierdzić, że cała ich ziemia jest przywilejem zagwarantowaną ich własnością. Opornych ale uspokojono zwykłymi środkami i p. Makow ruszył dalej.

U źródeł Uralu mieszkał od wieków lud dzielny i bitny, potomkowie zdobywców Sybiru, zahartowani w nieustannych walkach z dzikimi stepowcami — Kozacy Jaiccy. Lud ten dzielny nie znał innego rządu nad swoją gminę, uprawiał w pocie czoła żyźne pola Uralskie, łowił ryby w jeziorach i sól warzył, a gdy przyszła chwila walki za wolność, oni pierwsi stawali do appelu. Toteż gdy Emilian Pugaczew, bohater pieśni kozackich podniósł sztandar swój krwawy przeciwko carycy, ze wschodu podążyli pierwsi kozacy Jaiccy, a z zachodu wielu szukających guza konfederatów Barskich, za nimi cała ludność stepów stanęła pod bronią. Skończyła się rewolucya, Pugaczew pojmany i śmiercią w Moskwie ukarany — wojsko się rozpierzchło — Kozacy Jaiccy wrócili do siedzib swoich, a orząc swój zagon spiewali pieśni sławiące czyny „Jemielki Pugaczewa“.

Takich zastał ich p. Makow. Donos posłany przezeń do Petersburga brzmi jak następuje: „Jakkolwiek od buntu Pugaczewa blisko 100 lat już minęło, wszakże tradycya jego jest jeszcze między kozakami świeżą; sądzę zatem, że będzie zbawiennem dla dobra państwa przesiedlenie ich do Orenburga“. — Przesiedlono ich sposobem zwyczajnym: starców, kobiety i dzieci pędzono po śniegu przez stepy, pobudzając opornych lub słabszych kolbami lub bagnetami; następnie, zbudowano im z desek na śniegu baraki, rzuco ich na pastwę chłodu i głodu; wszystkich zaś zdatnych do noszenia broni wysłano na wojnę przeciw Tekińcom. Ziemię ich skonfiskowaną oddano panu Makowowi.

Wszystko to rzeczy już nie nowe; — z nowszych ciekawem jest wydobycie na stół sprawy Unitów. Gdy przyszło przysięgać na wierność nowemu carowi, wielu nawróconych Unitów tak na Podlasiu jak i na Litwie odmówiło przysięgi przed duchownym obcego wyznania, żądając księży katolickich. Po długich korowodach, nie chcąc w tych mocno niespokojnych czasach ludzi spokojnych jątrzyć, dano im czego żądali. Jeden wszakże zażarty mieszczanin miński podał skargę do sądu o przymus, a przegrawszy ją w dwóch instancyach, appelował do senatu. W senacie broni sprawy p. Włodzimierz Spasowicz. Wskutek tego, były gubernator Siedlecki a dzisiaj Miński pan Pietrow wyleciał z posady i jak zwykle w tych razach, gdy rząd udaje, że o czynnościach tajemnie nakazanych nic nie wie i takowe za nadużycie władzy uważa — wszystko się na wykonawcach carskiej woli skrupi — nam zaś ani lepiej ani gorzej od tego nie będzie. Osławioną rewizyę senatorską tymczasem odłożono ad acta, bo gdy Loris-Melikowa nie ma, któż by miał odwagę przywiezione przez senatora Połowcowa i innych stosy całe dowodów krzyczących na dużyć wyższej władzy przeglądać.

Litwin.

Wiadomości z Ziem Polskich.

Uroczystość. „Czasowi“ donoszą z Warszawy, pisze „Dziennik poznański“, co następuje:

„W dniu 23 likca b. r. konstytujący w Warszawie grodzieński pułk huzarów urządza wielką uroczystość pułkową z powodu 50-letnej rocznicy zwycięztwa wojsk rosyjskich nad polskiemi pod Raciążem. W dniu tym pułk za dzielne sprawowanie się zaliczony został do „starej gwardyi“. Komitet pułkowy rozesłał zaproszenia do wszystkich b. oficerów pułku, w obrębie państwa rosyjskiego. Chodzi tylko o to, czy właściwem i taktownem jest urządzenie uroczystości tak wyzywającego charakteru w Warszawie i do tego w pułku, w którym znajdują się i oficerowie — Polscy?

Naturalnie, co my dodajemy, że i to nie tylko niewłaściwe ale po prostu prowokujące, ale system rządu rosyjskiego polega głównie na drażnieniu godności i uczuć narodowych polskich. Warszawskie pisma o obchodzie tej uroczystości nic jeszcze nie donoszą, nakażą im to później zrobić.

Energia czynowników rosyjskich. Donosiliśmy już, że w dniu 20. b. m. Łukow w Podlaskiem uległ strasznemu pożarowi. Traf zrządził, że w chwili wybuchu jego przyjechał do Łukowa gubernator siedlecki. Udał się zaraz, jak pisze jeden z dzienników warszawskich, na miejsce pożaru, gdzie już jeden dom się spalił a kilkanaście stało w płomieniach, zbadał miejscowość, zalecił gorliwość obrony, zdążył na pociąg i . . . odjechał do Siedlec. Tak oto się znalazł gospodarz gubernii a na prośbę obywateli Łukowa, by przysłał straż ogniową z Siedlec, przyrzekłszy wypełnić tę „pokorną“ prośbę — wcale straży nie przysłał. Tymczasem spaliło się tam czterdzieści domów a 11 rozebrano. *(Dzien. Pozn.)*

Wiele miast polskich pod zaborem rosyjskim spłonęło w ostatnich czasach, niektóre prawie ze szczętem — a wszystkie wskutek podpalenia....

Szan. odbiorców pism naszych zalegających z przedpłatą upraszamy o wyrównanie zaległości. Przypominamy zarazem, że czas już odnowić prenumeratę na bieżący kwartał — a kto sobie nadal pism naszych odbierać nie życzy — niech raczy ten numer zwrócić.

KRONIKA.

Poświęcenie nowego gmachu sejmowego odbyło się w sobotę dnia 23. b. m. bez wszelkich uroczystości publicznych w obecności p. Marszałka Zyblikiewicza i kilku urzędników wydziału krajowego. W tym dniu objął Wydział krajowy lokalności gmachu tego do użytku biór swoich.

Nowe dary dla Muzeum Narodowego w Rapperswylu: Muzeum Narodowe w miesiącu czerwcu r. b. otrzymało następujące dary:

Polka z ukrainy ofiarowała medalion Aleksandra Grozy, jednego z tych popularnych poetów ukraińskich, co to wykarmiony od lat najmłodszych pieśnią i podaniami rodzinnemi zbliżył się najwięcej do ludu, biorąc go za główną treść i tło swoich utworów. Wizerunek autora: Rusałek, Pana Starosty Kaniowskiego i Mogiły jest tu pięknie i wiernie wykonany przez Wła. Oleszczyńskiego.

Pan A. D. S. Brochocki z Florencyi, fotografie wieńca i szkatułki ofiarowanych Kraszewskiemu przez grono Polaków zamieszkałych we Włoszech.

P. Franciszek Düll swoje własne poezye „Czem chata bogata“ Lwów 1881.

Hr. Wład Plater 3.000 fotografii w trzynastu pięknych wielkich albumach. Obejmują one głównie portrety emigrantów polskich od r. 1831 i uczestników w powstaniach narodowych. Unikat ten liczący tak ogromny szereg portretów Ziomków z tyle wybitnej epoki, co z bronią w ręku walczyli za wolność swego kraju, a później skazani zostali na bolesne tułactwo, przechowany w Muzeum z właściwym rodowodem i działnością każdej jednostki, stanie się na przyszłość nieocenionym zabytkiem i obrazem żywo przypominającym dzieje tych strasznych cierpień, wielkich wysileń i nieograniczonych poświęceń. Bogaty ten zbiór, jedyny w swoim rodzaju, mógł być dopełniony tylko w skutek jakichś szczególnie sprzyjających warunków i okoliczności, jakie posiadał właściciel onego będąc wyższym urzędnikiem francuzkim, specyalnie wyznaczonym od swojego rządu do zajmowania się emigracyą polską; od niego też nabyty został.

Pan Henryk Bukowski ze Stockholmu. Ostatnia jego przesełka darów dla Muzeum pełna rzadkości hibliograficznych i zapomnianych lub mało znanych

materyałów do dziejów naszych wymagałaby osobnego sprawozdania. Szczupłość zaś miejsća dozwala nam tylko wymienić w ogóle liczby wraz z kilku tytułami. Pan Bukowski nadesłał 200 książek i druków w różnych językach. Są to dzieła o Polsce lub też zostające w związku z Polską.

Pomiędzy niemi są wydania Elzewirów i Förstera. Z dzieł zaś bliżej nas obchodzących notujemy: Komentarz do wojny chocimskiej Jakóba Sobieskiego, historya Litwy Kojałowicza, dzieła Szymona Starowolskiego, relacye o zwycięztwach Jana Kazimierza, kronika Gwagnina wydanie frankfurtskie z r 1584, dzieła Pawła Szczerbca, Krzysztofa Warszawieckiego, A. M. Fredry, Iwanickiego, A. Olszewskiego, Jana z Kurzelowa wszystkie z XVI lub XVII wieku.

Pomiędzy zaś rękopismami ważniejsze są: papiery po baronie Tersmeden, członku komitetu dla spraw polskich w Stockholmie r. 1863. Uniwersał Zygmunta III. z własnoręcznym podpisem i pieczęcią króla z r. 1627, oraz takiż uniwersał Władysława IV. z r. 1637, akta koronacyjne Zygmunta III. etc W zbiorze zaś 200 przeszło rycin nadesłych w tej przesełce od Bukowskiego znajdują się sztychy Falka, Bouttatra, Wortmana, Mansfelda, Rozbacha, Bergera, Hamiltosa, Chodowieckiego i wielu innych. Do działu tego także należą ofirowane do Muzeum od tegóż pana B. bardzo już rzadkie a nadzwyczaj ciekawe plany bitw, fortec i różnych miast polskich z czasów Jana Kazimierza, jako też i kilka oryginalnych szkiców Weterlinga i Buklanda znanych malarzy szwedzkich.

Pan Kleming ze Sztockholmu ofiarował dzieło Brucka w języku szwedzkim pod tytułem „Rewolucya polska 1831 r.“

W miesiącu Czerwcu Zarząd Muzeum ogłosił drukiem w tekscie francuzkim adres dziękczynny 270 kapłanów polskich pozostających na wygnaniu w głębi Rosyi lub na Syberyi, wystosowany do Towarzystwa międzynarodowego, zajmującego się sprawami religijnemi w Polsce. Towarzystwo to założył hr. Wład. Plater w r. 1875. w celu wspierania kapłanów polskich wygnańców. Prócz tego Zarząd drukował także w języku francuzkim adres unitów pozostających na wygnaniu w guberni Chersońskiej do Ojca św. Oba te akta stwierdzające fakt nieustannego ucisku Kościoła w Polsce, rozesłane zostały wszystkim ważniejszym dziennikom Europejskim i Amerykańskim, które je też i ogłosiły. Jak wiadomo Muzeum Rapperswylskie zajmuje się wydaniem obszernego dzieła pod tytułem Wieniec pamiątkowy; otóż manuskrypt ten został już ukończony. Książka ta pełna materyałów historycznych do dziejów narodowego powstania z r. 1830 i 31 z życiorysami naszych weteranów i z opisem obchodów półwiekowych w Europie i Ameryce etc. w krótce wyjdzie z druku i godnie uwieńczy jubileuszową pamiątkę.

W miesiącu czerwcu zwiedziło Muzeum 358 osób cudzoziemców a obok tego bardzo wielu Polaków.

Na urządzić się mający szpital dla biednych a chorych w Buczaczu przyrzekł przew. ks. proboszcz Stanisław Gromnicki złożyć kwotę 3.000, słownie trzy tysiące złr. w. a. w ciągu lat 3.

Za ten dar iście książęcy składa podziękę hojnemu dawcy w imieniu ubogich — z serca płynące: „Bóg zapłać“.

Buczacz, 25. lipca 1881.

Za komitet szpitalny:
Dr. Edward Krzyżanowski.

Herszko Silberstein z Jaryczowa. W skutek zamieszczonego artykułu w „Sztandarze polskim“ o tym wielce niebezpiecznym wyzyskiwaczu, który jak dżuma grasuje w okolicy Jaryczowa i dziwnym sposobem wszystko mu dotąd bezkarnie uchodzi, za mieszczamy znowu zeznanie włościanina a niewątpimy, że c. k. prokuratorya raczy zwrócić szczególną uwagę na tego wampira. Zeznanie brzmi:

„Ja Michał Rewerenda liczę lat 61, żonaty, ojciec czworga dzieci, gospodarz w Hryniowie pod Jaryczowem i zeznaję, co następuje: Przed siedmiu laty wypożyczyłem w drobnych ratach od Herszka Silbersteina z Jaryczowa, kwotę 30 złr. Dług ten zawiozłem mu do Kamionki Strumiłowej. Pomimo, że płaciłem Silbersteinowi po jednym cencie od jednego złotego na tydzień procentu, tenże upominał się o daleko większe procenta przy spłacie kapitału i 30 fl., które mu wręczyłem do rąk, rzucił na ziemię. Ja te pieniądze pozbierałem. Następnie po rozmowie z Silbersteinem, tenże zapytał mię czy jadłem obiad i częstował mnie wódką. Świadkiem tego był Hryńko Pawliszyn, gospodarz z Hryniowa. Byłem naczczo, po kilku kieliszkach wódki, gdy Silberstein widział, że mi się w głowie mąci tak mówił:

Weź te 30 złr.; one się tobie w domu przydadzą a pójdziesz ze mną do notaryusza, tam spiszemy umowę: zapiszesz mi procent a ja tobie na cały dług czekać będę cały rok. — Dalej tałamucił mnie tak, że ja poszedłem z nim do notaryusza i tamże, chociaż byłem nieprzytomny, akt dłużny spisano, podpisali jacyś świadkowie, których Silb. sprowadził i dopiero po podpisaniu aktu dowiedziałem się, że tenże opiewał na sumę 200 złr. Protestowałem zaraz w kancelaryi lecz mi notaryusz odpowiedział, że mu do tego nic i wyrzucił mnie za drzwi. Nie upłynął jednak rok, do sądu nie byłem wzywany, brakowało jeszcze do terminu spłaty około trzech miesięcy, gdy do mnie zjechał na grabież H. Silberstein w towarzystwie urzędnika sądowego Ostrowskiego i zagrabili mnie w ruchomościach na wartość około 280 złr. Grabież tę oddano do wójta. Nastąpiła nowa zgoda z Silbersteinem i ja zmuszony byłem obowiązać się spłacić 400 złr., na który to dług dałem 100 złr. Następnie w trzy miesiące później dałem 150 złr. Dalej w dziewięć miesięcy później zapłaciłem 117 złr. Oprócz tego zaniosłem S. do domu 70 zł. a gdy S. przybył do mnie z żandarmem i poodrywał zamki od skrzyni i zagrabił z tejże 10 złr., które tamże znalazł. Nakoniec dałem jeszcze 100 złr. Wogóle zapłaciłem za 30 złr. długu dotychczas 547 złr. — Zdawać by się powinno, że H. Silberstein został sowicie wynagrodzony, tak jednak nie jest, gdyż obecnie dręczy mnie i prześladuje. Wyrobiwszy sobie nową egzekucyę obłożył sekwestrem prawie całe moje mienie tej zimy, jako to trzy konie, wóz, przędziwo, zboże kożuchy, odzienie. Zostałem wśród ciężkiej zimy w płótniance, dopiero się wójt zlitował i oddał mi odzienie, bo bym był zamarzł. Przez te sześć lat wzywany byłem do sądu tylko dwa razy. Płaciłem wprawdzie adwokatów, chciałem się bronić, lecz to spowodowało tylko nowe wydatki dla mnie na stęple i adwokatów, bo H. Silberstein drwi sobie ze wszystkiego i zawsze zwycięża. Na cóż mi zresztą przydało się bronić, gdy pijawka ta nie mnie jednego wyssała i zniszczyła, a nikt już niema odwagi zaczepić go i bronić się. Żyję więc pod nieustannym strachem, nie mam dnia ani nocy spokojnych, tracę ochotę do pracy, żyję nędznie i drżę ze starą żoną, że H. Silberstein dopnie tego, czem mi grozi, iż mnie na starość wyrzuci z chaty i sprzeda grunt. Błagam więc litości dobrych ludzi, świadomych prawa, aby mnie ratowali. Dowiedziawszy się o redakcyi „Strażnicy polskiej“, że takowa zawsze chętnie broni uciśnionych i ja to moje zeznanie składam, a co wszystko gotów jestem zaprzysiądz i świadków dostawić. Proszę o wydrukowanie tego mego zeznania a może c. k. Prokuratorya raczy uwolnić okolicę Jaryczowa od tego strasznego wyzyskiwacza. Mieszkam w Hryniowie pod Jaryczowem Nr. 53.“

Nasz Magistrat. Ktoby jeszcze powątpiewał czy i w jakim stopniu panuje u nas nepotyzm, ten niech posłucha następującego faktu:

Pewien obywatel zalegał w opłacaniu podatków. Nalegano, zarządzono egzekucyę, a nawet zajęcie ruchomości. Następnie stanęła umowa pomiędzy egzekutorem magistrackim a dłużnikiem, że pierwszy zgłosi się 2 lipca po odbiór pieniędzy, zastrzegając wyraźnie, iż czynności niedozwalają mu dłużej w domu czekać na p. egzekutora jak do południa.

Pan egzekutor nie zjawił się w oznaczonym czasie, a dłużnik wydalił się do swych niecierpiących zwłoki czynności. — Pan egzekutor wpada o godzinie 3. i kobietom chorym o niczem niewiedzącym — wyprawia burdę. — Dłużnik o godzinie 5. przyjeżdża do domu dorożką, dla zabrania papieru, który mu był w czynności nagle potrzebny i niemiał chwili do stracenia. — Pan egzekutor, który jak można twierdzić, niemiał innej czynności, czekał do tego czasu gdzieś w pobliżu, wpada przy asystencyi woźnego i wpoda gwałtowny domaga się pieniędzy w chwili, gdy dłużnik zdąża z pospiechem do dorożki. Otrzymuje odpowiedź, że to być nie może w tym momencie, gdyż sprawa jaką ma dłużnik niecierpi chwili zwłoki.

— „A to ja będę transferował rzeczy zajęte,“ krzyczy p. egzekutor.

— „Przeciw temu niemogę się bronić, a więc transferuj p., jeżeli niechcesz w żaden sposób przyjść jutro rano“ — i odjeżdża.

Pan egzekutor będąc w zupełnem prawie transferowania, nieuczynił tego jednak, lecz pędzi za dłużnikiem do miasta, wpada do obcego domu, gdzie dłużnik miał czynność, i tam wyprawia mu burdę. — Ten, już na polecić stróżowi, aby awanturnika wyrzucić, gdy ktoś zwraca uwagę, że p. egzekutor znany jest z nieustannych awantur; lecz to nie jego wina, gdyż jak powszechnie twierdzą ci, co go bliżej znają, cierpi on często umysłowo, a tylko w skutek protekcyi wisi przy magistracie — chociaż go przerzucają z jednej czynności do drugiej. — Gdy awantarnik dalej się awanturował i hałasował, dłużnik podatkowy, udał się do prezydenta miasta, opowiedział całą sprawę, a prezydent, wysłał natychmiast p. sekretarza prezydialnego Wilkowskiego, aby ekscedenta poskromić i odwołać. Ten jednak nieczekał i wyniósł się prędzej. — Następnie udawszy się do p. Strohnera naczelnika biura egzekucyjnego, złożył fałszywy raport, wskutek którego pan Radca — oddał sprawę c. k. Prokuratoryi — do ścigania dłużnika za zbrodnię obrazy urzędnika Magistratu i przeszkodzenie temuż w spełnianiu czynności urzędowej. — C. k. Prokuratorya, nie widząc powodu do oskarzenia, odstąpiła sprawę Sekcyi III. Dnia 27. b. m. odbyła się rozprawa publiczna; świadkiem ze strony egzekutora był wozny magistracki — który jednak w obec przedstawionej mu w następstwie przysięgi — zeznał zgodnie z prawdą, że oskarzony nie dopuścił się czynionych mu zarzutów.

Odpowiedzi zaś p. egzekutora w obec Sądu były tego rodzaju, że dokumentowały niepoczytalność umysłową skarżącego. Sąd wydał wyrok uwalniający obwinionego od kary i kosztów. — Cóż się potem dzieje: Oto p. egzekutor udaje się do magistratu, i tam pewnemu dygnitarzowi biórowemu opowiada, że woźny „opuścił go“ — niechciał na jego korzyść zeznawać — przeczo sprawa została przegraną. Dygnitarz — nie zachodząc w bliższe szczegóły — wydaje wyrok, aby woźnego wypędzić natychmiast z Magistratu. Dopiero po przedstawieniach innych urzędników zgodził się na to, aby woźnego tymczasowo jeszcze zatrzymać, a tylko przenieść pod władzę innego egzekutora, — co się też i stało. — Lecz teraz nowy kłopot, bo żaden woźny niechce iść pod komendę znanego awanturnika, którego miejsce byłoby właściwsze na oddziale obserwacyjnym w szpitalu głównym.

Zapytujemy więc Ś. Prezydium Magistratu czy zechce uwolnić obywateli miasta od umysłowo nie poczytnego funkcyonaryusza lub czy też mamy tę sprawę podać do publicznej wiadomości ze szczegółami, na co mamy liczne dowody i świadków.

W Temeswarze na Węgrzech wydano rozkaz, żeby żadna z gmin nie prenumerowała gazet niemieckich, tylko madziarskie.

Załącemu się na p. Sekretarza magistratu nie możemy pomódz, bo go nie znamy — ani jego nazwiska, ani świadków tego zajścia a odpowiedzialności brać za prawdziwość nie możemy.

Teatr.

Przybywszy na zjazd lekarzy i przyrodników do Krakowa, ujrzeliśmy afisze teatralne zapowiadające „Konfederatów Barskich“, a że teatr krakowski znamy od lat 40tu jako świątynię Melpomeny polskiej, to trudno, aby do niej chociaż na chwilkę nie zajrzeć. Wszakże to nie składniąd ale z niej wyszli Królikowscy, Chomińscy, Richterzy, Ładnowscy, Radyńska-Hubertowa i cała plejada artystów polskich, których nazwiska na długo pozostaną w pamięci rodaków. A byli tam i dyrektorowie jak Męciszewski, Chełchowski, a mianowicie ostatni z przed ery Skorupków i Koźminów — Juliusz Pfeifer, którzy się dobrze scenie polskiej zasłużyli.

Zdążamy więc do tego starego, znajomego nam przybytku, gdzie w niejednej trudnej chwili żywota krzepiliśmy ducha. Niestety przykrego doznaliśmy zawodu, gdy zamiast artystów grających, ujrzeliśmy towarzystwo jakichś niedorostków „bawiących się w teatr“, którego stary p. Ładnowski, pp. Wolska, Hofmanowa i Szymański podtrzymać nie są w możności, bo to nad ich siły. W prawdzie w takiej powadze jak „Czas“ krakowski, czytujemy recenzye o znakomitościach jak pp. Wojdałowicz i Żelazowski, ale pierwszemu do znakomitości daleko, a drugi posiada wprawdzie pewien zasób talentu, lecz potrzeba mu jeszcze bardzo długo pracować pod kierunkiem odpowiedniej dyrekcyi. Widzieliśmy go w Ojcu Marku; kreacya ta grana jako improwizowana na jakiej scenie amatorskiej, miałaby prawo zyskać od pobłażliwej publiczności uznanie, ale na scenie publicznej wypadła więcej jak blado. Całość zaś przedstawienia „Konfederatów“ przedstawiła się więcej jak smutnie. Pani Wolska, pani Hoffman, pp. Ładnowski i Szymański, byli to jedyni reprezentanci sceny krakowskiej, którzy pojmowali przydzielone im role. Nie zapominamy o tak sympatycznym talencie scenicznym, jak pna Stachowicz, która posiada wszelkie warunki, aby zostać artystką dramatyczną. Na scenie krakowskiej jednak, jak się ta obecnie przedstawia, talent ten nie tylko nie może pójść naprzód, lecz gotów zatracić swą samoistność.

Smutna fama krakowska rozniosła sławę „Kościuszki pod Racławicami“. Siedemnaście przedstawień z rzędu nakazywały wierzyć nieobecnym, że przedstawienie tego dzieła rzeczywiście odpowiada godności sceny krakowskiej. I myśmy się doczekali we Lwowie tego balu, chociaż pewna falanga „Jancistów“ a anti-„Adamistów“ naprzód głosiła, że pan Miłaszewski nie dorósł, aby sprostać takiemu przedstawieniu, jakiem się raczy publiczność w Krakowie. Wiele było również zgorszenia, że tekst jakiego używa lwowska dyrekcya jest tylko kompilacyą nieudałą dzieła, jakim się posługuje sufler w krakowskiej budce. Zjeżdżał nawet do Lwowa sam autor, który usiłował zaprotestować przeciw profanacyi i obdarcia z piękna jakiego się pan Miłaszewski miał dopuścić, gdyż tylko

ostatnia przeróbka jakiej używa scena krakowska, odpowiada zadaniu sceny narodowej. Wielkie było z tąd zgorszenie „Jancistów“ i o mało nie krzyknięto panu Miłaszewskiemu „pereat!“ Gdy jednak publiczność na przedstawieniach we Lwowie nie mogła się powstrzymać od łez, wzruszeń i wybuchła frenetycznym entuzyazmem, nie wypadało jakoś wydawać wyroku śmierci. Otóż gdy w Krakowie dla uczczenia zjazdu polskich przyrodników i lekarzy objawiły się na murach afisze zapowiadające „Kościuszkę pod Racławicami“, kto tylko żył a znajdował się z granic Galicyi w Krakowie prawił Koroniarzom, Litwinom, Ukraińcom etc. o wspaniałości przedstawienia krakowskiego Słyszeliśmy na własne uszy taką wyrocznię lwowską: „No powiadam panu, że we Lwowie jakkolwiek Miłaszewski nie dorósł do krakowskiej dyrekcyi a jednak „Kościuszko“ sprawia szalone wrażenie. Wprawdzie w Krakowie nie byłem jeszcze na tem przedstawieniu, ale wiem, że stoi znacznie wyżej“.

Bilety rozkupiono co do jednego. Pomimo znużenia wycieczką do Wieliczki, kto mógł dążył do teatru. Kasa była już zamkniętą gdy przybyłem, za szczególną jednak protekcyą, wstawiono mi krzesełko do szyjki parkietowej. Zagrała orkiestra obsadzona nadzwyczaj homeopatycznie. Być może, że z powodu gorąca tony tejże nie grzeszyły zbytnią harmonią. Nareszcie podnosi się zasłona, pani Wolska bardzo dobrze reprezentuje panią Lichocką prezydentowę, gdyż to już w krwi Ładnowskich leży, że na scenie nie wolno fuszerować ale być rzeczywiście artystą lub artystką. Pan Wojdałowicz uchodził jeszcze jako tako za prezydenta; jednakowoż do naszego Ziomka-Zamojskiego b a r d z o m u j e s z c z e d a l e k o. Zamojski stworzył typ tak charakterystyczny, iż ten na długo pozostaje w pamięci widza. Lichocki pana Wojdałowicza jest niczem więcej jak przeciętnym krakowianinem, którego obraz zaciera się po wyjściu z teatru. Autor w przeróbce dodał jeszcze siostrzenicę prezydentostwa w pierwszym akcie a po co i na co, dali Bóg nie rozumiemy, chociaż z tej nijakości wywiązała się jak mogła najlepiej młoda warszawianka panna Rumowska, stawiająca pierwsze kroki na scenie z powodzeniem. Pani Lichocka zastępuje z pierwszego tekstu siostrę komisarza Lenartowicza. Autor lituje się nad nią i nie pozwala jej zginąć zamordowanej od Moskali. Pada ona ale tylko ze strachu, tak samo jak jej mąż w rowie pod Racławicami. I słusznie uczynił autor, bo jakżeż można przypuścić, że praporszczyk moskal byłby zdolny zastrzelić kobietę na seryo bez powodu. Stary A l e k s a n d e r Ł a d n o w s k i pomimo, że mu pół wieku zanadto zeszlifowało zęby na scenie, był po staremu dobrym ekonomem Radzikiem. Pan Żelazowski w roli Kościuszki uczyniłby honorowi sceny polskiej wielką przysługę, gdyby nadal raczył zaniechać profanacyi ś. p. pana naczelnika z pod Racławic. Ani z miny, ani z czupryny, ani z głosu, ani z ruchu nie dorósł jeszcze takiej kreacyi, a powtórzymy tylko głosy z Korony, Litwy i Wielkopolski, że p. Ż. naszkicował bardzo słabą karykaturę. A b r a m k o był wprawdzie żydem i chociaż co do słowa wygłosił rolę według przerobionego tekstu, podług którego on a nie naczelnik Kościuszko wygrywa bitwę pod Racławicami i jemu jedynie po słuszności należała by się chwała zwycięztwa, przedstawia jednak dopiero młodego Abramka. Widzieliśmy tak samo jak we Lwowie konfederatów pana Nicefora i Onufrego, a byliśmy tego przekonania, że reżyserya w skutek posuchy na artystów dramatycznych w Krakowie, których taki brak tam się czuć daje, jak ongi wody w Rudawie, sprowadzili dwóch komików z jakiegoś niemieckiego tingel-tanglu gadających po „polski“. Jeden z nich był podobien do kulawego i na drgawki w nogach chorującego czarnego huzara kaprala z nad Sprei a drugi na pajaca przebranego za starego żołnierza. Nie dziwimy się jednak dyrekcyi, to na bezwodziu i ryb brak. Ziesztą jeżeli publiczność krakowska w nieograniczonej wierze do wyroczni „Czasu“ uwierzyła w znakomitych Kościuszków, Żelazowskich i konfederatów, to i zbieraninie z pod wszystkich trzech zaborów powinna uderzyć czołem.

Co do reszty g r a j ą c y c h t e a t r, zdania publiczności były podzielone: gdy jednym szeptano w ucho, że to rzeczywiście są artyści krakowscy, którzy pod prasą hydrauliczną wynalazku pana Koźmiana przemienieni zostali w zera, to drudzy znowu twierdzili że to są marjonetki wypożyczone od jakiegoś Holdena, który przybył do Krakowa ogłaszając afiszami: Holden przybywa!

Pod względem dekoracyi i wystawy scenicznej widzieliśmy zbiór cennych zabytków, które jeżeli nie sięgają pamięcią rzeczypospolitej krakowskiej, to zawsze pamiętają czasy śp. Chełchowskiego i Pfeifra. Od tego czasu (oprócz zasłony) zdaje się, że dla braku malarzy w Krakowie pędzel jest narzędziem nieznanem.

Co się dotyczy garderoby, — no to tej nie brak, gdyż tandeta na Kaźmierzu istnieje w pełnym rozkwicie, a nawet papieru kolorowego można tam kupić jak do szopki. Warszawianie i inni zakordonowcy twierdzili, że obecny teatr krakowski jest to szopka, którą jednak na jarmarkach prowincyonalnych można widzieć w lepszej edycyi i na żaden sposób nie chcieli wierzyć, że figurki ruszające się, są to ci sami artyści, których „Czas“ chwaląc, aż pod niebiosa podnosi.

Niektórzy malkontenci krakowscy, którzy się jednak wyraźnie do warchołów krakowskich zaliczali, opowiadali, że pan Koźmian mając ośm tysięcy złr. subwencyi od Wydziału krajowego, 2500 zł. od rządu, prawo do pobierania 5% od wszystkich widowisk w Krakowie, nie płacąc nic z teatru, mógłby wprawdzie pozwolić sobie na większy luksus jako dyrektor teatru. Zdaniem naszem jednak, wymagania takiego poświęcenia są arcydziwne, albowiem trudno żądać, aby pan Koźmian co (jak twierdzą lepiej poinformowani krakowianie), będąc równocześnie wielkim mistrzem w przybytku czyli też kongregacyi n i e b i e s k i c h stolików w kasynie krakowskim, ma zupełnie inne obowiązki i wydatki, na które się z użytkowuje subwencya, by łożył na jakieś tam teatra lub komedye.

Nakoniec podług szkoły i poglądów Koźmianowskich teatr nie powinien być niczem innem jak instytucyą hodowli foremnej płci pięknej i tak wykształconej, aby oko pańskie mogło z lubością na niéj spoczywać. Gdyby Kraków czuł inną potrzebę, nie uważałby był za stosowne pozbyć się dawniejszych tradycyi i nie dostałby do tego wysokiego stopnia chrypki, aby nie módz żądać głośno tego co mu się należy. My jednak należąc w tym wypadku do inaczej myślących wołamy: Panie uczyń miłosierdzie ze sceną krakowską!

Dnia wczorajszego jakkolwiek przy niezbyt napełnionym amfiteatrze, artyści nasi dali prawdziwy koncert. — „Dzień św. Zofii“, jest to obrazek dramatyczny (Juliusza Guillment) o wysokim nastroju i wymaga nie lada sił scenicznych. Pan Zboiński w roli Samuela Spickart, starego kompozytora, grał z wielkiem przejęciem się tym charakterem, po mistrzowsku. — Pp. Aszpergerowa, Woleńska, Kwieciński dotrzymywali harmonii całości.

W „Raku morskim“ pp. Fiszer, Lubicz, Sułkowska, tworzyli tercet, jakby wybrany z korca maku. Tyle wydobyli komicznych efektów, że publiczność zanosiła się formalnie od śmiechu Artyści złożyli dowód, że bez tak zwanego s z a r ż o w a n i a, można stanąć na szczycie komizmu. P. Wysocki był również dobrym Prosperem.

Zakończyła przedstawienie znana krotochwiia Blizińskiego „Kawaler marcowy“. Pawłowę, gospodynię, grała debiutantka panna Ruszkowska z Warszawy, a grała tak, że tym jednym zamachem więcej zyskała sobie obywatelstwo na scenie lwowskiej. Młodziutka ta artystka, b a r d z o w i e l e na przyszłość obiecująca, wypełni lukę, która się rzeczywiście czuć dawała, w charakterach kobiet wiejskich, których zdawało się, że po ś. p. Radzyńskiej-Hubertowej, już tradycya nawet zaginęła.

Potrzeba było dopiero A. Miłaszewskiego, aby odnalazł — na czem scenie naszej zbywało. Otóż dziś wypowiadamy śmiało, że panna Ruszkowska przy wytrwałej pracy, będzie drugą Radzyńską-Hubertową. Powierzchowność jej jest wielce ujmującą. Wzrost, oczy, wyraz twarzy, wymowa — wszystkie te warunki posiada panna R. w dodatnim stopniu. Publiczność nie szczędziła jej oklasków i słusznie. Pp. Zamojski i Podwyszyński byli d e f a c t o e t d e i u r e, wybornymi starymi kawalerami.

Winszujemy szczerze p. A. Miłaszewskiemu talentu odradzania sił scenicznych, jak panny Cichocka, Helon, Ruszkowska. — Nie wiele czasu upłynie, a nie jedna scena nam ich pozazdrości.

☞ Miejscowe jak i z prowincyi Listy pieniężne i przekazy na prenumeratę prosimy przysełać zawsze pod adresem: Do Administracyi (lub Ekspedycyi) Sztandaru polskiego (lub Strażnicy polskiej), na ręce pana Szczęsnego Bednarskiego, w drukarni p. Anny Wajdowiczowej, Rynek l. 9.

Dnia 16. lipca.

Lwów, z Izby handlowej.

I. *Akcye za sztukę á 200 zł.*	żądają	płacą
Kolei gal. Karola Ludwika	329·—	326.—
„ Lwowsko-Czerniowieckiej	186·—	183 —
Banku gal. Hipotecznego	314·—	310·—
„ Kredytowego gal.	260·—	256 —
II. *Listy zastawne za 100 zł.*		
Tow. kredytowego gal. 5% w. a.	102·85	101·85
„ „ „ 4% „	97·15	96·15
„ „ „ 5% „	102·85	101·85
Banku hipoteczn. gal. 6% „	104·25	103·25
„ hip. gal. 5% w. a. wylosowalne z 10% prem.	103·50	102·25
III. *Listy dłużne za 100 zł.*		
Gal. zakładu kred. włośc. 6%	105·50	103·50
Ogóln. kred. zakład dla Galicyi i Buk. 6% los w. 151	94·—	92·—

IV. *Obligi na 100 zł.*	żądają	płacą
Indemnizacyjne galic.	102·60	101·60
Komunalne gal. Zakładu kredyt. włościańskiego 6%	103·50	102·50
Pożyczki kraj. 1873 6%	104·25	103·—
Losy miasta Krakowa	21·25	19·25
„ „ Stanisławowa	26·—	24·—
V. *Monety.*		
Dukat holenderski	5·56	5·45
„ cesarski	5·57	5·47
20 frankówka	9·36	9·26
Pół-imperjał rosyjski	9·63	9 53
Rubel rosyjski srebrny	1·65	1·50
„ „ papierowy	1·24	1·22
100 marek niemieckich	57·85	57·15
Srebro za 100 zł.	100·50	99·50
Kupony w srebrze	100·—	99·25

Za 100 kilogr. (1 cetnar = 76 klg.) paritas:

	Lwów od	Lwów do	Kraków od	Kraków od	Stanisławów od	Stanisławów do	Tarnopol od	Tarnopol do
Pszenica czerwona	1025.	12·—	11.—	11·75	12·—	12·50	11·40	11·75
„ żółta	—·—	—·—	—·—	—·—	—·—	—·—	11·20	11.50
„ jesien.	9·75	—·—	—·—	—·—	10·—	10·25	—·—	10·—
Żyto	8·75	10·—	10 25	10·50	9·50	10·25	8·25	9·—
Jęczmień browarny	6.—	7·25	7.75	8·—	5·50	6·50	6·25	—·—
„ pastewny	6·—	6.50	—·—	—·—	—·—	—·—	—·—	—·—
Owies	5·50	6·25	6·75	7·—	5·50	6·—	—·—	—·—
Groch do gotowania	7.50	9.—	8·—	9·—	7·—	8·—	6·75	7·—
„ pastewny	6·—	7·—	—·—	—·—	—·—	—·—	—·—	—·—
Wyka	5·50	6·—	—·—	—·—	—·—	—·—	—·—	—·—
Bób	6·75	7·—	—·—	—·—	—·—	—·—	—·—	—·—
Hreczka	6·75	7·—	7·75	8·—	6·50	7·—	—·—	—·—
Kukurydza	6 —	6·25	—·—	—·—	5·—	6·—	—·—	—·—
Koniczyna	18·—	34·—	—·—	—·—	—·—	—·—	—·—	—·—
Lnianka	9·—	9·60	—·—	—·—	9·—	10·—	—·—	—·—
Nasienie lniane	11·50	12·—	—·—	—·—	—·—	—·—	—·—	—·—
Rzepak zimowy	11·25	11·75	12·—	12·25	10·—	11·—	—·—	—·—
„ letni	10·70	11·—	—·—	—·—	—·—	—·—	—·—	11·30
Okowita 10.000 litr.	prc.	33·75						

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **J. N. z Oleksowa Gniewosz.** Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9.

Pod zarządem Szczęsnego Bednarkiego.